ŁOWIEC POLSKI



Na wieczorne zapady rys. K. Tarnowski

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 3 (946) Maj-Czerwiec 1947 Cena zł 35

Ogłoszenie

W dniu 29 czerwca r. b. odbędzie się **w Opolu**

WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW

POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie Zgromadzenia.
2. Odczytanie i zatwierdzenie protokółu z dnia 16 czerwca 1946 r.
3. Odczytanie i zatwierdzenie sprawozdania z działalności Komitetu Wykonawczego i Rady Naczelnej.
4. Sprawozdanie finansowe, rozpatrzenie i zatwierdzenie bilansu i rachunku strat i zysków za rok 1946, sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, oraz uchwalenie preliminarza budżetowego na rok 1947.
5. Wybory do Władz Naczelnych P. Z. Ł.
6. Sprawa ustawy łowieckiej.
7. Zmiana Statutu P. Z. Ł.
8. Ustalenie składki na rok 1948.
9. Sprawy Spółdzielni.
10. Wolne wnioski.

Zgromadzenie rozpocznie się w sali reprezentacyjnej Starostwa o godz. 10.30, a poprzedzone będzie dwudniową sesją Naczelnej Rady Łowieckiej (w dniach 27 i 28 czerwca) w sali posiedzeń Państwowego Banku Rolnego (ul. Damrota 2a).

SPROSTOWANIE

Warszawska Rada Wojewódzka prosi o sprostowanie w „Podziękowaniu“, zamieszczonym w N-rze 2 ;;Łowca Polskiego“, ustępu 4-go w tym sensie, iż uchwałę o złożeniu na cel odbudowy siedziby Związku jednorazowej ofiary w wysokości 100 zł. od członka — powzięto na zebraniach nie Rad Wojewódzkich i Powiatowych, ale na Walnych Zgromadzeniach członków tychże organizacyj.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 3 (946) 1 9 4 7 Maj-Czerwiec



MARSZAŁEK POLSKI MICHAŁ ŻYMIERSKI
obejmuje protektorat nad Polskim Związkiem Łowieckim

Marszałek Polski i Minister Obrony Narodowej Michał Żymierski przyjął w dniu 30 maja b. r. delegację Polskiego Związku Łowieckiego w składzie: Z. Kowalskiego, dr Z. Korolkiewicza i inż. K. Humińskiego. Delegacja złożyła na ręce Marszałka Polski prośbę o objęcie protektoratu nad Polskim Związkiem Łowieckim. Jednocześnie delegacja przedstawiła stan organizacyjny Polskiego Związku Łowieckiego, który jednocząc na prawdziwie demokratycznych zasadach wszystkich myśliwych Rzeczypospolitej, przystąpił do wspólnej pracy nad odbudową Polski Ludowej również i na odcinku łowiectwa, stanowiącego dzisiaj już nie zabawkę możnych, ale poważną gałąź gospodarstwa narodowego.

Marszałek Polski przychylił się do prośby delegacji i wyraził swą zgodę na objęcie protektoratu nad Polskim Związkiem Łowieckim.

Następnie Marszałek Polski wysłuchał sprawozdania z dotychczasowej działalności i zamierzeń na przyszłość Polskiego Związku Łowieckiego, poświęcając najwięcej uwagi sprawom: pogłębienia organizacji Związku w terenie, a tym samym dalszego zwalczania nielegalnego polowania, następnie rozwoju Spółdzielni „Jedność Łowiecka", mającej za zadanie zaopatrywanie myśliwych w broń i amunicję oraz wydawania pisma Związkowego „Łowiec Polski" w formie bardziej obszernej i okazałej.

Dla wszystkich wyżej wymienionych zagadnień Marszałek Polski obiecał wydatne poparcie.

Na zakończenie audiencji Marszałek Polski zaakceptował projekt zwołania Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego na dzień 29 czerwca b. r. do Opola, które zostało wybrane jako miejsce Zgromadzenia dla zadokumentowania wobec zbierającej się tego samego dnia w Paryżu Międzynarodowej Rady Łowieckiej nierozerwalnej więzi, która łączy Polskę z jej prastarymi Ziemiami Odzyskanymi na zachodzie.

Audiencja trwała blisko godzinę.

Inż STANISŁAW HAHN

Wiosną na kaczory

(Praca odznaczona 1-ą nagrodą na Konkursie literackim)

Na Warszawskim gruncie w latach mniej-więcej 1923 — 1927 pomiędzy zapalonymi myśliwymi, do których zawsze należałem, rej wodził p. Wacław M.

Pan M. był typem nie codziennym. Historja jego życia była mi nieznana — nigdy jej przy mnie nie poruszał. Robił wrażenie człowieka, który wielokrotnie bywał na wozie i to dobrym, bywał jednak czasami i pod wozem.

Starszy jegomość, bardzo gruby, miał wszelkie cechy szlagona, zarówno dodatnie, jak i ujemne. Giest szeroki, blagier, jakich nawet między myśliwymi mało, myśliwy doświadczony; specjalnością jego było opowiadanie kawałów, nieraz doskonałych, czym całe towarzystwo potrafił bawić godzinami.

Zaproszenia takie poprzedzane były zawsze nadzwyczajnymi opisami terenów, na które mieliśmy się udać.

Zaczynało się zwykle tak:

W cukierni, gdzieśmy się często spotykali, podchodzę do jego stolika i jeszcze nie zdążę się przywitać, a już słyszę:

„Panie Stanisławie! Proszę być gotowym na sobotę. Zbiórka tam i tam; jedziemy na dziki (kaczki, bażanty, czy co innego)."

Zaczynam ostrożnie wypytywać: co, gdzie i jak, no i czy napewno zwierzyna tam jest?

„Czy są tam dziki? Panie! Jak pestek! Drugiego takiego terenu niema w całej Polsce. Na ostatnim polowaniu padło tyle, a tyle sztuk. Pojedzie z nami minister taki i taki, generał ten i ten, no i chciałbym Panu zrobić przyjemność."

Oczywiście jechałem.

Minister był, generał też i jeszcze kilku sympatycznych kompanów, a. ze zwierzyną bywało rozmaicie. Czasami tak, ale bardzo często nadzieje zawodziły, jechaliśmy bowiem na tereny, które już dawno swoją sławę utraciły.

Wycieczki jednak były zawsze ciekawe i przyjemne; jeździliśmy przeważnie na kresy wschodnie, nieraz do dziur tak odległych, że sam dojazd był całą podróżą, zaś krajobraz i folklor nie miał sobie równych nawet w opisach „Dalekiego Zachodu".

Jedną z pierwszych tego rodzaju wycieczek była jazda na Polesie: na kaczory.

Polowania tego nie znałem zupełnie, słyszałem jednak, oraz czytałem entuzjastyczne opowiadania na ten temat. Nie znałem jeszcze wówczas również samego Polesia, to też zaproszenie przyjąłem z radością i nie mogłem się doczekać dnia wyjazdu. Wreszcie i on nadszedł.

Zebraliśmy się w 5-ciu, czy 6-ciu na dworcu Wschodnim i wyruszyliśmy. Czekała nas długa jazda wobec braku na tej linii pociągów pośpiesznych i dużej, bo około 400 km. odległości. Wyjeżdżało się wieczorem, zaś na stacji Łachwa mieliśmy być około południa dnia następnego.

Jechało się przez Brześć nad Bugiem, Pińsk, Łuniniec.

Już za Brześciem zaczynał się krajobraz poleski. Coraz częściej widać było z okien wagonu mniejsze i większe bagna, wysoko zalane o tej porze roku (druga połowa kwietnia) wodą.

W okolicach Horodca, Kobrynia przeważały bagna otwarte, porośnięte ostrą kępiastą trawą, która obecnie niewiele tylko wystawała z wody, ale się już mocno zieleniła. Im dalej na wschód, tym częściej na tego rodzaju bagnach występowała prócz tego łozina w mniejszych i większych kępach. Była już ona pokryta drobniutkiemi żółto - zielonymi listkami o kolorze tak delikatnym, że krzaki z pewnej odległości wyglądały jak kłęby zielonkawej mgły.

Mijaliśmy po drodze też i lasy od podmokłych, w których królowała fjoletową olszyna i ciemno - zielone świerki, do suchych sosnowych lasów, lasków i zagajników.

Wszędzie woda i piasek. Te dwa elementy walczą tu ze sobą i niewiadomo, który przeważa. Parometrowa wyniosłość, to już wydma piaszczysta, na której z trudem karłowate sosny rosną; niewielka nizina, to bagno, albo zalana obecnie wodą mizerna łąka. Pomiędzy sosnowymi laskami — pola uprawne, obsiane przeważnie żytem, gdyż na tych piaszczystych gruntach, gdzie woda zaskórna tuż, nic prócz niego, lichych kartofli, owsa i gryki rosnąć nie może.



Na rozlewiskach Prypeci

Oczy nasze szukały ptactwa błotnego. Wczesnym rankiem widać było tu i ówdzie przelatujące pojedyncze kaczki, nie w takich jednak ilościach, jak sobie wyobrażałem. Im bardziej zbliżało się południe, tym było ich mniej, to też nie wiedziałem co sądzić, czy rok jest na kaczki „urodzajny", czy też nie.

Później, kiedy nabrałem doświadczenia, poznałem dobrze ten rodzaj polowania i samo Polesie; jadąc już pociągiem wiedziałem, czego można się spodziewać. Zbyt wysoki stan wód jest niekorzystny, taksamo jak i zbyt niski. Prócz tego zaś trzeba trafić na odpowiedni moment dostatecznego rozkwitu wiosny, ale i nie spóźnić się.

Tym razem nie wiedziałem co sądzić, ale p. Wacław zacierał ręce, więc pewnie będzie dobrze.

Po przyjeździe do Łachwy przesiedliśmy się na lekkie poleskie wózki, zaprzężone miejscową modą.

Wysiedliśmy, jak sobie w duszy mówiłem, w miejscowości najmniej odpowiedniej do polowania na kaczory.

Bagna, widziane z okien wagonu, skończyły się już kilkanaście kilometrów przed Łachwą; tu teren był wyższy, same pola uprawne, a na horyzoncie, w kierunku gdzie mieliśmy jechać, widać było jeszcze większe wzniesienie z kilkoma wiatrakami.

Był to Kożangródek — cel naszej wyprawy.

Mina mi zrzedła! Widocznie lepsze tereny są już pozajmowane przez innych, a p. Wacław wiezie nas tam, gdzie już nikt nie chce polować.

Jechałem więc, przyznam się, w dość ponurym nastroju owe 4 kilometry po szczerych piaskach.

Przyjechaliśmy jednak.

Duża wieś, jak rosyjskie „sioła" zabudowana nie wzdłuż jednej ulicy lecz wielu, wychodzących, względnie zbiegających się przy cerkwi na obszernym placu.

Zatrzymaliśmy się na przeciwległym jej krańcu w chacie Karpieja Korotysza, parę kroków od niedużej rzeczki — Cny.

P. Wacław wyszedł omówić ze znajomymi gospodarzami dalsze szczegóły, my zaś rozłożyliśmy się z naszymi bagażami w dość obszernej i czystej izbie, zaczynając wydobywać prowianty, jako że żołądki nasze gwałtownie upominały się o swoje prawa.

Z przyjemnością stwierdziliśmy, oglądając rozłożone na stole „jadło i napoje", że głodu odczuwać nie będziemy, a gdy po powrocie p. Wacława zjawiła się jeszcze ociekająca masłem smażona ryba w odpowiedniej do naszych apetytów ilości i zaczęły krążyć najrozmaitszego kształtu i wielkości naczynia, napełnione przedziwnymi nalewkami, żubrówkami i t. p. humory poszły na „stałą pogodę".

Aniśmy się spostrzegli, kiedy zapadł zmierzch i zjawili się przewoźnicy.

Polowanie bowiem miało się odbywać z łódek i każdy myśliwy dostawał swoją, razem z wioślarzem, na cały kilkodniowy okres łowów.

P. Wacław zarządził losowanie, cel którego był dla mnie niejasny. Nie urządzaliśmy przecież wyścigów, a łódki były jednakowo wygodne.

Mnie los obdarzył Karpiejem — naszym gospodarzem. Pan Wacław, który sam dostał „Win-

cusia" podszedł do mnie, poklepał po ramieniu mówiąc:

„Ten to zawsze ma szczęście"!

Nie wiedziałem jeszcze na czym to moje szczęście polegało.

Następnie dni uświadomiły mnie dostatecznie pod tym względem.

Technika polowania na kaczory polega na tym, że zwabia się je na odległość strzału, siedząc w ukryciu.

Do tego celu służy zwykle żywa kaczka, t. zw. „krekucha", którą myśliwy wozi ze sobą w łódce, puszcza w odpowiednim miejscu na wodę, przymocowując za nogę do palika, lub do rzuconego na dno ciężarka, sam chowa się czymprędzej, zaszywając się najczęściej w krzak łoziny i stamtąd strzela do nadlatujcych kaczorów.

O ile oczywiście nadlatują!

Nadlatują zaś wtedy, jeśli krekucha krzyczy. Nie zawsze jednak ma ochotę to robić.

Dobra krekucha — taka, która puszczona na wodę drze się bez ustanku i gotowa to robić przez kilka godzin z rzędu, jest skarbem i rzadkością (ocena ta nie ma zastosowania do własnego „skarbu" myśliwego o podobnych właściwościach, nawet po puszczeniu go na wodę).

Pozatym nawet taka ma swoje dobre i złe dni, kiedy jest bardziej lub mniej rozmowna. Czasem nachodzi na nią jakaś „chandra", czy coś podobnego, wtedy całymi dniami potrafi „ust" nie otworzyć.

W takich wypadkach powodzenie wyprawy zależy od wabiarza, t. j. właśnie od owego przewoźnika. Rzadko który myśliwy sztukę wabienia sam posiada, taksamo niewielu przewoźników umie naprawdę dobrze wabić. ,

Ale trafiają się między nimi prawdziwi artyści.

Takim artystą był, jak się okazało, Karpiej, którym mnie łaskawy los obdarzył.

Wabiarz jest nietylko rezerwą na wypadek niedyspozycji krekuchy. Na jej wab reagują zasadniczo wyłącznie kaczory odmiany krzyżówek. Inne zaś gatunki (a jest ich na Polesiu moc) mają odrębne głosy. A choć się zdarza, że na namiętne wezwania krekuchy nadleci czasem kaczorek cyranki, czernicy, czy bostyniec, to fakt taki należy przypisać raczej ciekawości.

„Czego ta stara tak się drze?" — myśli sobie ten i ów i leci sprawdzić.

A może i między kaczorami trafiają się też perwersyjne osobniki!

Wabiarz więc potrzebny jest normalnie do wabienia tych innych odmian, a krekucha spełnia wówczas nie mniej ważną rolę. Widziana przez kaczora na wodzie, odwraca jego uwagę od łódki, z której się głos wydobywa.

Wabienie bez krekuchy lub choćby sztucznej kaczki ma zwykle ten skutek, że kaczor, kierując się dokładnie na głos, już zdaleka spostrzega łódkę, zmienia kierunek lotu i więcej nie wraca. Natomiast nawet sztuczna kaczka powoduje że leci wprost na nią i siada w jej pobliżu na wodzie.

Umiejętność wabienia! Tak się mówi, ale to jest już właściwie sztuka.

W następnych latach ćwiczyłem się, rozporządzając najlepszymi wabikami i doszedłem zaledwie do miernych wyników.

W najbardziej odpowiedniej dla danego gatunku porze i przy innych sprzyjających warunkach jak: teren, pogoda i t. p., przychodziły na mój wab cyranki i czernice; krzyżówki zaś już znacznie rzadziej.

Wystarczało jednak, żeby w moim pobliżu odezwała się prawdziwa kaczka, a wszystkie moje kaczory, które już nadchodziły, zmieniały kierunek lotu i szły do tamtej. Pozatym szły zawsze dość opornie; trzeba było je długo „namawiać".

Muszę zaś dodać, że ucho mam bardzo „muzykalne" i miałem możność dostrajania wabików do głosów żywych kaczek w terenie.

Co za porównanie z takim Karpiejem!

Zrobi sobie napoczekaniu wabik z kawałka wierzbowej gałązki i blaszki z pudełka od konserw, nastroi go według swego ucha i jak idą kaczory!

Przede wszystkim reagują natychmiast i idą bez wahania; poza tym widoczne jest, że zew Karpieja bardziej dla nich jest pociągający, niż głos posiadanych przez nich kochanek.

Ile razy widziałem, jak wysoko górą w szalonym pędzie leci kaczka, a za nią kilku roznamiętnionych adoratorów. Nie było wypadku, żeby na wab Karpieja kilku końcowych nie porzuciło pościgu i nie przyszło do łódki.

Albo widzimy, że na czystej wodzie siedzi kaczka ze swoim małżonkiem. Karpiej i takiego potrafi sprowadzić na drogę zdrady.

Cyranki nadlatywały po kilka sztuk odrazu i to już po pierwszym odezwaniu się Karpieja.

Jeden zaś raz przeżyłem z tego powodu bardzo przykry moment.

Zabiłem już kilka sztuk, kiedy zauważyłem, że na zew Karpieja płynie wprost do łódki kaczorek, ale jakoś dziwnie się zachowuje. Główkę ma zwieszoną nabok i innej jakiejś barwy.

Gdy dostateczne się zbliżył poznałem, że przy poprzednich moich strzałach zraniłem go widocznie w łepek, z którego sączyła się krew. I takie biedactwo szło jeszcze za głosem miłości!

Każdy gatunek kaczorów reaguje na wab najlepiej w odpowiedniej dla siebie fazie wiosny. Krzyżówki „idą" najchętniej przy normalnej wiośnie w dwóch środkowych tygodniach kwietnia. Cyranki zaś często jeszcze wtedy chodzą stadami i nie myślą o miłosnych igraszkach Dla tego zaś gatunku najlepszym terminem są ostatnie dni kwietnia i początek maja — prawie do połowy tego miesiąca.

Zato krzyżówki mają już wówczas dość tej przyjemności.

Panie siedzą statecznie na gniazdach, panowie zaś syci wrażeń i zmęczeni gromadzą się po kilku, przeważnie pod brzegami łąk i trzeba nielada ponętnego głosu, żeby tych wyczerpanych jegomości rozruszać.

Tego zawsze dokazywał Karpiej i z lepszym skutkiem, niż najbardziej zawodowa krekucha.

Takiego to mistrza dostałem na pierwszy mój występ.

Powoli zaczęliśmy się zbierać do drogi.

Bierzemy ze sobą wszystko, cośmy przywieźli, prócz tego zaś przewoźnicy zabierają duży kocioł do gotowania, patelnię i t. p., ponieważ pobyt nasz w terenie ma potrwać 3 doby.

Powoli dowiaduję się szczegółów wyprawy.

Jedziemy na rozlewiska Prypeci, ciągnące się po obu stronach tej rzeki, a punkt oparcia mieć będziemy w jednym z „kureni".

Jak ten kureń wygląda — nie mam pojęcia, ale widocznie można w nim będzie nocować, skoro tam jedziemy.

Każdy z przewoźników zajmuje się swoją łódką, swoim myśliwym i jego bagażem.

Do łódek jest parę kroków, stoją bowiem jedna obok drugiej na rzeczce.

Są to zwykłe rybackie płaskodenne czółna, zbite z desek, długości około 4-ch metrów. Na dziobie układamy moje pakunki, środek zajmuję ja,z tyłu zaś staje Karpiej z długim prostym wiosłem, mając w nogach swój mały węzełek i zamykany kosz z 2-ma krekuchami.

Dla mnie urządzone jest wygodne siedzenie z worka wypchanego mocno słomą, poza tym zaś cała przestrzeń między siedzeniem a dziobem wymoszczona jest grubo sianem.

Karpiejowi przyjrzałem się jeszcze w chacie. Jest to młody człowiek lat około 28-miu, blondyn, nie wyróżniający się niczym. Nie jest żadnym „typem" i nie ma w nim nic z egzotyczności. Gładko ogolony i ostrzyżony, ubrany z miejska w jakąś kurtkę, spodnie sukienne i długie buty. Na głowie zwykła czapka t. zw. cyklistówka. Teraz na drogę włożył jeszcze na siebie krótki kożuszek, bo jednak dnie, a zwłaszcza noce są jeszcze zimne, i przepasał się paskiem.

Inni przewoźnicy wyglądają podobnie, za wyjątkiem jednego starego, który zachował ubiór poleski: długą kapotę wełnianą z samodziału, spodnie płócienne, na nogach łapcie z łyka, włożone na grube płócienne onucze zciągnięte sznurkiem. Na głowie czapka barania.

Karpiej ulokował mnie w łódce, radząc wyciągnąć się na sianie, okryć kocem i spać.

Tak też zrobiłem i ruszyliśmy. Karpiej pierwszy, inni kolejno za nim. Łódkę pędził stojąc na tyle, popychając ją, wzgl. wiosłując jednym wiosłem.

Noc była ciemna bezksiężycowa, lecz gwiaździsta, zapowiadająca dobrą pogodę — chłód przejmujący.

Wydostanie się ze wsi nie było takie proste. Trzeba było przejechać pod kilkoma mostkami, z których parę było tak niskich, że Karpiej musiał również się kłaść i rękoma popychać czółno, czepiając się słupów.

Szerokość rzeczki za wsią powiększyła się znacznie, widocznie teren się obniżał.

Oczy przyzwyczaiły się do ciemności i zacząłem się trochę orientować w otoczeniu, ale niebardzo. Dalsza przestrzeń zlewała się w jednostajną ciemną zasłonę.

Po pewnym czasie zdałem sobe sprawę, że płyniemy po jakimś dużym obszarze wodnym; mijaliśmy duże kępy łoziny, zagłębialiśmy się w jakieś wąskie przejścia, obramowane krzakami i trzciną. Orientację kierunkową straciłem zupełnie, wiedziałem tylko, że jedziemy przeważnie po płytkich wodach, Karpiej bowiem prowadził łódkę na „pych", rzadko tylko uciekając się do wiosłowania.

Początkowo rozmawiałem z nim trochę, później słyszałem już tylko przytłumione głosy, dochodzące z innych łódek, wreszcie przestałem wogóle słyszeć i czuć — zasnąłem.

Obudziłem się o świcie i przez dobrą jeszcze chwilę nie chciało mi się ruszyć z pod ciepłego przykrycia. Wreszcie pokonałem lenistwo i usiadłem na przygotowanym siedzeniu.

Widoczność była jeszcze słaba, ale mgły nie było.

Wschodnia strona nieba dużo jaśniejsza, choć jeszcze bez różowych odblasków. Robiło się coraz widniej — stopniowo, ale szybko. Wzrok mój już zupełnie dokładnie rozróżniał szczegóły krajobrazu.

Jechaliśmy po olbrzymim wodnym przestworzu, usianym dużymi i małymi skupieniami krzewów łozy.

Tu i ówdzie widać było las zeszłorocznych pożółkłych trzcin i oczeretów.

Byliśmy sami — inne łódki gdzieś się rozjechały.

— Panie nizinierze! Pora dostać dubeltówkę i patrony — słyszę głos Karpieja — Zaraz będzie na nich sama najlepsza pora.

Zdopingowany szybko złożyłem broń, wydostałem kilka paczek naboi, jedną z nich otworzyłem, żeby mieć pod ręką zapas, parę sztuk włożyłem do kieszeni bekieszy i byłem gotów.

Tymczasem na wschodniej stronie nieba zaczynały się dziać cuda.

Słońce było jeszcze głęboko schowane pod horyzontem, rzucało jednak już swoje światło na górne warstwy tej części nieba, zabarwiając je na najprzeróżniejsze kolory od czerwonego, poprzez żółty, zielonkawy, do fioletu i ciemnego granatu.

Woda, jak gdyby zazdroszcząc niebu, że się tak wystroiło, odbijała wszystkie te wspaniałości, zmieniając tylko trochę odcienia i pokrywając je jakimś przedziwnym perłowym blaskiem.

Karpiej zwolnił tempo i zaczął się bacznie rozglądać. Kilkakrotnie zatrzymywał łódkę, badał otoczenie, potem zmieniał widocznie zamiar i ruszał dalej.

Wreszcie zbliżył się do grupy krzaków łoziny, objechał je dookoła, odnalazł tam jakąś zatokę, spróbował wiosłem głębokość wody i widząc, że wynosi nie wiele ponad 1 metr, zatrzymał czółno.

Wydobył z koszyka krekuchę, która, jak się okazało, miała już przywiązany do nogi kilkumetrowy sznurek z ciężarkiem wagowym na końcu, puścił ją na wodę, ciężarek zaś rzucił na dno.

— Skorieje, panie nizinierze! — zawołał podniecony, używając rosyjskiego zwrotu.

Skierował łódkę tyłem do krzaków, poczem rzucił wiosło i chwytając gałęzie zaczął szybko wciągać czółno wgłąb krzewu. Ciężkie to było zadanie: łódka oparła się dnem o korzenie, boki zaś ściskały gałęzie. Wspólnymi jednak siłami udało się nam schować ją tak dokładnie, że cały tył był przykryty jakby baldachimem, boki były osłonięte i tylko z przodu miałem trochę widoczności.

Krekucha, która w pierwszej chwili zaczęła się pluskać w wodzie, robiąc ranną toaletę, teraz uspokoiła się i zaczęła się odzywać. Z początku — niedbale, przytłumionym głosem, aż nagle rozwrzeszczała się na całe gardło. W następnej już sekundzie usłyszałem w oddali, jednocześnie z dwóch stron, charakterystyczne głosy kaczorów, identyczne z tymi, jakie słyszymy na naszych podwórzach gospodarczych.

Choć miałem broń gotową do strzału, ledwie zdążyłem strącić jednego z nich z powietrza, tak nagle nadleciały i oba jednocześnie.

Leżał teraz na wodzie w odległości około 40 kroków, opuściwszy na bok swoją piękną zieloną głowę.

Krekucha zamilkła, spłoszona strzałem, a może bardziej jeszcze upadkiem na wodę pięknego młodzieńca. Spoglądała w jego stronę nieufnie i ze zdziwieniem.

— Przybyłeś na moje płomienne wezwanie, wyśniony kochanku, a teraz się nie zbliżasz- Czy cię moja piękność onieśmieliła? — zdawała się mówić.

Karpiej tymczasem udzielał mi rad.

— Treba buło panie szczob odin usiełsia, a wtedy drugiego w lot, to i na pierwszego byłoby wremia — mówił, mieszając słowa białoruskie, polskie i rosyjskie.

Tymczasem krekucha odwróciła się z pogardą od nieczułego zalotnika i zaczęła wabić na nowo. Nie długo trwało i znów słychać odpowiedź kaczora gdzieś z tyłu. Jedną, drugą, trzecią, coraz bliżej; jeszcze chwila, a zjawia się jak kula, siada o kilka kroków od krekuchy, aż woda bryznęła na wszystkie strony i w tej samej chwili zrywa się do lotu.

Szybki strzał—i podzielił los swojego poprzednika.

— Zamietił sznurok- — tłumaczy Karpiej zachowanie się kaczora. Zdaniem jego kaczor zauważył, że krekucha jest przywiązana i to go przestraszyło. Chciał już zrezygnować z miłosnej przygody, ale było za późno.

Krekucha tym razem zrobiła dłuższą pauzę. Na ponowny jej zew odpowiedzi słychać nie było, choć krzyczała z przerwami kilka minut.

— Pobaczym, czy czyrki już idą — powiedział Karpiej, wyciągając z kieszeni jakiś drobny przedmiot. Przytknął go do ust, pisnął raz i drugi, po czym niezadowolony z rezultatu coś paznokciem przygiął, znów spróbował i naraz zaczął wabić, wydając po kilka serji wysokich przerywanych dźwięków, niemożliwych do opisania. Dźwięki te w każdym razie niczem kwakania kaczki nie przypominały.

Przy późniejszych obserwacjach miałem możność stwierdzić, że głos ten wydaje kaczka cyranka w momencie, kiedy jest natarczywie atakowana przez kilku naraz ognistych kochanków.

Słyszy się go często w powietrzu i widzi się wówczas, jak jedna kaczka ucieka przed pościgiem kilku, czasek kilkunastu kaczorków, robiąc raptowne zwroty, starając się ich — zdawałoby się zupełnie szczerze — pozbyć, poto, żeby później jednak gdzieś w zacisznym ustroniu, wyczerpawszy środki obrony, zmęczona, ulec temu najwytrwalszemu, najdzielniejszemu, najbardziej przedsiębiorczemu.

Jest to więc widocznie raczej krzyk ,,uciśnionej niewinności", niż zew. Działa on jednak na bezlitosny ród męski do tego stopnia podniecająco, że kaczorki zlatują się ze wszystkich stron, porzucając nieraz prawowite małżonki, w słodkiej nadziei, że może on właśnie będzie kosztował owocu zwycięstwa.

Miałem więc za chwilę stanąć w obronie owej ,,uciśnionej niewinności", karząc nielitościwe zamiary kaczorków.

Pierwsze próby Karpieja zawiodły. Nie zrażał się tym jednak i po paru sekundach przerwy rozpoczynał na nowo. Wreszcie w odpowiedzi słychać jakiś głos, taki jakiś dziwny! Jakby z klekotania bociana wybrać te same dźwięki i powtarzać je po dwa w krótkich odstępach czasu.

Za chwilę nadleciał mały kaczorek i usiadł na wodzie w pobliżu krekuchy. Zarzucił główkę na grzbiet i w tej samej chwili usłyszałem te same dźwięki.

Krekucha jednak zaimponowała mu swoją wielkością — tak dorodnej panny jeszcze nie spotykał.

Nie czekałem, co z tego wyniknie i za chwilę martwy kaczorek unosił się na drobnej fali, która go powoli znosiła w stronę krzaków.

Tymczasem słońce wschodziło. Czerwono-ognista kula zaczęła się wyłaniać z wody; padły pierwsze bezpośrednie promienie, nadając całemu otoczeniu inne, bardziej intensywne, barwy.

Karpiej nie przestawał wabić i wkrótce jeszcze dwa kaczorki zostały na wodzie.

— Pora zmienić korcz — powiedział Karpiej.

Wypchnęliśmy więc łódkę, zabrali do niej krekuchę, podnieśliśmy zabite kaczory i ruszyli w dalszą drogę.

Nim jednak wypłynęliśmy na otwartą przestrzeń rozległ się świst skrzydeł i spostrzegliśmy stadko nisko ciągnących kaczek, które siadło nie daleko od nas z drugiej strony łóz.

Karpiej przykucnął w łódce i szepnął — Te świetlejsze z rudymi łbami — to kaczory.

Zaraz też zaczął ostrożnymi ruchami popychać czółno wzdłuż łóz. Robił to tak mistrzowsko, że nie słychać było najsłabszego plusku wody przy wyjmowaniu wiosła, ani razu też wiosło nie dotknęło burty łódki, co jak wiadomo słychać z daleka.

W pewnym momencie skierował czółno w wąskie przejście między łozami i teraz już, porzucając wszelką ostrożność, silnymi pchnięciami poderwał je do biegu. Dwa, trzy pchnięcia, a za każdym czółno omal nie wyskakiwało z wody, i wpadliśmy na drugą stronę pasa łóz o jakieś 50 kroków od stada, które porwało się z krzykiem, przypominającym krakanie wrony.

Strzał był trudny, gdyż stanąłem w łódce, ta zaś pod wpływem silnych uderzeń wiosła daleka była od stanu równowagi.

Nie mniej jednak nie tylko obeszło się bez kąpieli, ale i sztuka, do której strzelałem, spadła. Spadła na pewno; widziałem dokładnie, nie leży jednak na wodzie — zniknęła.

Karpiej w lot opanował sytuację. Nie bacząc, że mocno zachwiałem się w łódce i omal nie wypadłem, zawrócił czółno raptownie w stronę łoziny, wiosłując z wielkim pośpiechem, dopadł krzaków i w pewnym momencie uderzył wiosłem raz i drugi.

Za chwilę wydostał z wody zabitą sztukę.

Był to kaczor nieznanego mi dotąd gatunku, a i dziś naukowej jego nazwy nie znam. Karpiej nazywał tę odmianę ,,czernice", niektórzy myśliwi zwą ją ,,ogorzałka" (nie podgorzałka), zaś w pewnym pięknie wydanym albumie niemieckim, gdze były przytaczane i polskie nazwy, widziałem pod jej barwną podobizną napis: ;;kaczka ponura".

Lepiej będzie jak ją opiszę.

Kaczor w stroju godowym jest siwy, jak futerko popielicy, i ma na grzbiecie oraz na skrzydłach drobniutkie centki w tym samym kolorze; szyja i głowa jasno-brązowe, oczy czerwone, dziób i nogi koloru grafitu.

Kaczka jest dużo ciemniejsza, brudno-brązowa; część brzucha biaława.

Odmiana ta odznacza się wyjątkowo krępą budową, wagą zaś chyba nie ustępuje krzyżówce, choć ciało ma krótsze.

Kaczki te świetnie nurkują, postrzałki więc trudne są do odszukania.

Pierwszy ,,korcz", czyli krzak, dał niezły wynik: 5 kaczorów. Widać było, że na cyranki jest jeszcze za wcześnie, ale talent Karpieja dawał sobie z tym radę.

Początek polowania dał mi w ciągu godziny trzy odmiany kaczorów.

Ruszyliśmy dalej. Przecięliśmy na ukos większą przestrzeń czystej wody, coś jakby niewielkie jezioro, bo i woda była głębsza (trzeba było wiosłować), płosząc przy tym stadko kaczek. Zerwały się na odległość znacznie przewyższającą możliwość strzały i od razu wzięły dużą wysokość. Zdążyłem tylko zauważyć, że były wielkości krzyżówek i prawie białe.

,,Gołolice", jak je nazwał Karpiej.

W następnych latach upolowałem kilka kaczorów o podobnym wyglądzie. Były to ,,bostyńce" z szerokimi, rozpłaszczonymi na końcu dziobami, ciemno-zielonymi głowami, skrzydłami niebieskawymi, ciemno-brązowym środkiem grzbietu, trochę brązu na podgardlu, resztą zaś ciała białą.

W locie robiły wrażenie jeszcze bielszych. Czy były one identyczne z owymi ,,gołolicami", tego do dziś dnia nie wiem.

Wkrótce stanęliśmy w następnym krzaku, po równie starannym wyborze miejsca.

Kierować się tu należy kilkoma względami.

Wybrany krzak musi być odpowiednio gęsty i wysoki, ażeby dokładnie skrył czółno. Krekucha musi być puszczona na czystą, o ile możności spokojną, wodę, najlepiej w niewielkich zatoczkach, lecz niezbyt ciasnych, ażeby umożliwić kaczorowi dobrą widoczność. Woda nie może być zbyt płytka, bo na takiej krekucha zamiast siedzieć spokojnie i oddawać się swojemu rzemiosłu, zaczyna poszukiwania żywności. Wyciąga z wody wodorosty, ślimaki i inne smakołyki, a o miłości zapomina.

Poza tym najbliższa okolica w promieniu jakichś 300 metrów (gdyż z takiej mniej więcej odległości zlatują się kaczory) winna posiadać cechy odpowiednie dla ich pobytu. Trudno to ująć w formę prawideł, ale doświadczenie daje nieuchwytne nieraz wyczucie tych właściwości terenowych.

Jest jednak kilka zasadniczych wskazówek pod tym względem.

Nie należy więc zasiadać w odosobnionej kępie, otoczonej dużą przestrzenią czystej wody; natomiast pożądane jest bliskie sąsiedztwo bagna ,,kępiastego", zarośli trzciny, lub niskiej łozy.

Do godziny 9-ej rano zmieniliśmy około 5-ciu stanowisk z rezultatem coś 18 kaczorów. Wynik był dobry, a emocja wielka.

Nie strzelałem oczywiście bez pudła, gdyż w tym wypadku musiałbym ich mieć ze 25 sztuk. Nie chodziło mi jednak wyłącznie o ilość. Starałem się unikać strzałów na wodzie, a strącić z powietrza każdego kaczora, — mając warunki widoczności i poruszania się ogromnie utrudnione, — byłoby zbyt wielką sztuką.

Zabiłem tego poranka, poza opisanymi trzema odmianami, jeszcze jednego ślicznego kaczorka. Przyszedł na wab ,,cyranczy", odzywając się, jak gdyby ktoś szarpał dźwięczną strunę, wydając głos: ,,klim". Tak go też miejscowa ludność nazwała.

Ów Klim był to kaczorek ,,cyraneczki" o główce zielonej z brązowym, ciemno-pstrym grzbietem, białym brzuszkiem i pięknymi zielonymi lusterkami w skrzydłach. Jest to najmniejsza ze znanych mi naszych kaczek i w tamtych okolicach bardzo rzadka.

Około g. 9-ej kaczory nie chciały już iść. Skierowaliśmy się więc w stronę kurenia, gdzie mieliśmy się wszyscy spotkać.

Miałem możność rozejrzenia się teraz w sytuacji, do czego dopomagały wyjaśnienia Karpieja.

Pływaliśmy po wielkim obszarze wód; nigdzie nie było widać żadnego kawałka lądu, żadnej wyspy. Jasnem było jednak, że nie jest to jakieś jezioro. Przeczyły temu bowiem zarośla łozy, które spotykaliśmy na każdym kroku.

Od Karpieja dowiedziałem się, że od Kożangródka oddaleni jesteśmy o jakie 10 kilometrów

i że woda podchodzi pod samą wieś. Prypeć płynie ot tam za tymi łozami i jesteśmy na jej wiosennych rozlewiskach. Tereny, po których pływamy, są w lecie przeważnie suche i stanowią częściowo pastwiska, częściowo zaś łąki.

Nie wszystkie jednak. Są tu również bagna, które i w lecie nie wysychają, a także małe jeziorka, stare koryta rzeczne i t. p.

Wszystko to jest obecnie wyrównane przyborem wód i stanowi ostoję błotnego ptactwa.

Zasięg tych rozlewów nie jest jednakowy. Szerokość ich jest zależna od wielkości przylegających bagien i w tych miejscach, gdzie rozchodzą się one głębokimi językami, dochodzi do 30, a nawet więcej kilometrów.

Zaraz po ruszeniu lodów obszary te obejmuje w posiadanie przelotne błotne ptactwo — przeważnie kaczki najróżniejszych odmian. Jedne z nich traktują te wody jako swoją ojczyznę, — osiedlają się i zakładają gniazda, inne są tylko gośćmi na przeciąg paru tygodni i lecą dalej na północ, gdzieś hen! aż nad wybrzeże morza Białego.

To też w tym okresie spotkać tu można wszystkie, nawet najdalej na północy żyjące odmiany.

Zdobycie jednak tych egzotycznych trofeów nie jest rzeczą łatwą; wymaga wielkiej cierpliwości i w dużej mierze zależy od przypadku Na nic bowiem nie zda się podjeżdżanie ostrożnego ptactwa łódkami. Stada siedzą na otwartych wodach i rwą się na odległość kilkuset metrów.

Stawianie budek i t. p. schronów jest mało celowe wobec olbrzymich przestrzeni wodnych, o ile nie jest połączone z umiejętnym napędzaniem przez płoszenie ptactwa na przyległych terenach. Krekucha w tych wypadkach bywa bardzo przydatna, wzbudza bowiem zaufanie dzikich towarzyszek.

Zbliżamy się do kurenia.

Niedaleko od pasma łóz, odznaczającego nieistniejący dziś brzeg Prypeci, widać było kilka drzew, między nimi zaś coś podobnego do stogu siana, tylko o kształcie bardziej zbliżonym do piramidy. Za chwilę dojechaliśmy na miejsce.

Z wody wyłaniała się maleńka wysepka o średnicy nie większej, niż 10 metrów, na niej zaś stała budowla, przypominająca wszystko, tylko nie pomieszczenie dla ludzi.

Był to ów „kureń". Szopa, buda, szałas, bo nie wiem już jak twór ten miejscowego budownictwa nazwać, w kształcie stożka, pokryty od góry do dołu trzciną, bez okien, z jednymi drzwiami wejściowymi, osadzonymi w pochyłej ścianie, — no i bez komina. Wnętrze bynajmniej nie luksusowe. Przestrzeń okrągła o średnicy około 4 metrów, ograniczona pochyłymi, zbiegającymi się u góry ścianami, dookoła lekkie podwyższenie, wymoszczone sianem, pośrodku miejsce na ognisko. Ze stropu zwieszał się jeszcze drążek, zakończony „kulką" (haczykiem drewnianym), na którym można było powiesić kociołek nad ogniem.

To wszystko!

Stołu, stołków, czy czegoś podobnego — ani śladu.

W górnej części dachu znajdował się jeszcze otwór, który można było przymykać klapą w razie deszczu — to urządzenie dla odprowadzania dymu z ogniska.

Nie wątpię, że prototyp tego rodzaju pałacu musiał przed paroma tysiącami lat wzbudzić tak wielki zachwyt swoim komfortem i elegancją, że przetrwał on bez zmian do naszych czasów.

W takim to „hotelu" mieliśmy spędzić 2 noce

Kureń — to schron dla rybaków podczas połowów.

Łącznie z nami miało go zajmować jeszcze 4 przedstawicieli tego zawodu, czyli razem 14 osób.

Towarzysze moi wszyscy już zjechali, na dworze paliło się duże ognisko, a zawieszony kocioł mocno parował, świadcząc, że o sprawach kulinarnych już pomyślano.

Ponieważ słońce pięknie dogrzewało, usiedliśmy pod gołym niebem, na czym kto mógł i zaczęły się opowiadania.

Rezultaty były różne.

P. Wacław, którego „Wincuś" należał do pierwszej, choć nie extra klasy wabiarzy, miał 15 kaczorów, inni trochę mniej, każdy jednak zachwycał się szczerze nadzwyczajnym urokiem tego rodzaju polowania, oraz niespodziewanym pięknem i niezwykłością krajobrazu.

Każdy też miał jakąś nadzwyczajną, jego zdaniem, przygodę.

Jednemu kaczor nadleciał tak niespodziewanie i siadł tak blisko krekuchy, że nie zdążył interweniować w obronie jej cnoty; innemu jastrząb porwał z przed nosa zabitego kaczora; jeszcze inny gonił łódką na czystej wodzie postrzałka i twierdził, że był chyba zaczarowany, bo zużył na niego 10 naboi nim go dostał i t. p.

Tymczasem podano nam wytwór kulinarny naszych przewoźników.

Była to t. zw. „ucha", czyli zupa rybna, z której ugotowanych i rozgotowanych ryb nie wyjmowano, dzięki czemu była gęsta, zawiesista i bardzo smaczna. Trzeba było tylko bardzo uważać na ości.

Na tego rodzaju urozmaiceniach zeszedł nam czas do 3-ej, poczym wyruszyliśmy ponownie na łowy, każdy znów w inną stronę. Terenami dzielili się przewoźnicy, gdyż żaden z nas nie mógł tu głosu zabierać.

Umawiali się więc, że ten pojedzie na „Pietrową grud", inny znów na „Cyniańskie błoto" i t. d.

Karpiej zawiózł mnie na „Pożar". Był to teren dość odległy, ale cieszył się doskonałą opinią. Jakoż nie zawiódł pokładanych nadziei.

Czy dlatego, że dzień był wyjątkowo ciepły, czy też wogóle odpowiednia pora już nadchodziła, dość, że „czyrki" zaczęły dobrze „iść".

Zaraz w pierwszym krzaku na pierwsze lamenty Karpieja nadleciało coś 5 kaczorków jednocześnie. Dwa z nich usiadły w pobliżu krekuchy, pozostałe krążyły nad łódką, choć Karpiej dawno już zaprzestał się odzywać. Zapamiętały one widocznie dokładnie kierunek, skąd głos się wydobywał i na krekuchę nie zwracały

uwagi, szukając tej innej. Czółno było ukryte dobrze, więc przez gałęzie nie mogły go dostrzec. Te same jednak gałęzie utrudniały mi strzał, więc dopiero po dłuższej chwili udało mi się, wykorzystując lukę, spuścić jednego z powietrza. Z drugiej lufy zabiłem podrywającego się z wody kaczorka.

— Wot sławno! — pochwalił Karpiej.

Teraz nastąpiła przerwa, potrzebna do uspokojenia poruszonej strzałami okolicy. Siedząc bezczynnie zauważyłem dużą ilość jakichś żuczków, które krzątały się, biegając po gałązkach łozy. Kształt miały wydłużony, całe czerwone z czarnymi okrywami skrzydełek. Były dość dokuczliwe, bo właziły ciągle na ręce, szyję i nawet za kołnierz, czego przedtem w podnieceniu nerwów nie czułem.

Krekucha zaczęła się wreszcie odzywać.

Byłem pewny, że za chwilę będę miał nową okazję do strzału, tymczasem ucichła nagle, rozpłaszczyła się jakoś dziwnie i trwała w bezruchu.

— „Korszun“ — szepnął mój towarzysz i rzeczywiście za chwilę spostrzegłem sporego jastrzębia, który wolnym lotem poszybował nad łozą, poza obrębem jednak strzału.

Ponieważ krekucha długo nie przychodziła do siebie z przerażenia, trzeba było znów pomyśleć o cyrankach.

Odpowiedź była natychmiastowa i powtarzała się wielokrotnie, ale odległość zmniejszała się powoli.

— Pływie — słyszę szept.

Napróżno go jednak wypatruję. Był to jakiś dość leniwy jegomość, któremu nie chciało się zerwać do lotu. Płynął krzakami.

Zbliżył się w ten sposób na jakieś 10 kroków do czółna nim go dojrzałem. Nie chciałem strzelać na taką bliską odległość, poczekałem więc, aż nas spostrzegł. Porwał się, żeby za chwilę znów spaść na wodę.

Zmieniliśmy znów miejsca postoju, kaczorki szły raz lepiej, raz gorzej; ja też raz strzelałem pierwszorzędnie, to znów haniebnie pudłowałem.

Zbliżał się zachód słońca.

— Sama pora na kryżni — mówi mój towarzysz, kiedy zasiedliśmy w solidnym krzaku, mając po lewej stronie obszerne bagno, zarośnięte kępiastą trawą.

Cóż, kiedy nasza krekucha zastrejkowała! Zaczęła się pluskać w wodzie, zobojętniała jakoś i nie chciała dzioba otworzyć.

Poczekaliśmy jeszcze chwilę, a że sytuacja się nie zmieniła, Karpiej wyciągnął z kieszeni inny wabik i zaczął swój koncert.

Nie naśladował krekuchy i jej spokojnego głosu. Z jego ust wyrwały się kwakania o innym rytmie i wyższym tonie. Brzmiało to jak krzyki rozpaczy i przerażenia. Skutek był natychmiastowy.

Z bagna porwały się trzy kaczory i leciały wprost na nas, odpowiadając często. Dwa strzały i dwa piękne ptaki załamały się w powietrzu, padając ciężko na wodę.

Na pewno i tym razem lecąc były przekonane, że tu jakaś piękność jest w niebezpieczeństwie.

Karpiej nie jest zwolennikiem częstej zmiany stanowisk. Jeżeli wyczuwa, że miejsce jest dobre i nie wszystkie kaczory się poruszyły, woli odczekać, aż się wszystko uspokoi i zaczyna znów wabić. Na tym stanowisku zabiłem jeszcze dwa duże kaczory i jednego „czyrka“, poczem już o zmroku dotarliśmy do kurenia z 12-a kaczorami.

Jadąc zmarzłem trochę; wieczór bowiem był chłodny i zerwał się wiatr. Z radością też stwierdziłem, że w kureniu palą ognisko, przy którym można się będzie rozgrzać.

Nie wiedziałem, że radość ta połączona będzie z cierpieniem.

Po wejściu ogarnęło mnie przyjemne ciepło, tylko... czuć dymem. Mało czuć, w oczy szczypie. Co to szczypie! gryzie! wytrzymać nie można! Z oczu leją się łzy.

Chciałem już zrezygnować i wyjść na świeże powietrze, widzę jednak, że moi towarzysze siedzą, a właściwie półleżą dookoła ogniska i jakoś wytrzymują.

Czyżbym tylko ja był taki delikatny? Poszedłem za ich przykładem i usiadłem.

Odrazu poczułem ulgę, ale jeszcze nie na tyle, żebym się dobrze czuł — dym dokuczał, choć już mniej. Dopiero leżąca pozycja umożliwiała dostęp świeżego powietrza. Zjawisko z punktu widzenia fizyki łatwe do wytłumaczenia. Dym z ogniska szedł oczywiście do góry, wypełniając kurną chatę więcej niż do połowy. W stojącej pozycji głowa była w nim zanurzona całkowicie i dopiero najniższe warstwy zawierały mieszankę zdatną do oddychania i nie tak silnie działającą na błony śluzowe.

Po jakimś czasie oczy moje na tyle się przyzwyczaiły, że chusteczka, którą dotąd musiałem stale łzy wycierać, była mi już niepotrzebna. Mogłem też swobodnie przyjrzeć się otoczeniu.

Obraz, który miałem przed sobą, nadawał się, żeby go uwiecznił jakiś mistrzowski pędzel. Możnaby go wówczas zatytułować np.: „Jaskinia zbójecka“, albo jakoś podobnie; niktby jednak nie uwierzył, że jest to fragment polowania.

Palące się ognisko z zawieszonym nad nim kotłem, nasze postacie stłoczone pół-leżąco dookoła, ubiory niedbałe (pozrzucaliśmy wierzchnie okrycia i kurtki, przewoźnicy zaś nawet koszule), gęby obrośnięte, oświetlone jaskrawo czerwonawym płomieniem ogniska, rzucającym fantastyczne cienie... wszystko to tworzyło widok niezwykły.

Wkrótce jednak zaczęliśmy wszyscy odczuwać nową udrękę. Zaatakowały nas... pchły! ale w jakich ilościach! Nie wyobrażałem sobie, żeby coś podobnego było możliwe. Przewoźnicy wiedzieli dobrze co robią, zdejmując koszule!

Ci z nich, co do tej pory tego nie zrobili, czym prędzej pozbywali się tej części garderoby i oswabadzali się od natrętów „wypalając“ zawartość koszuli.

Widać było, że plaga ta była im dobrze znana. A że każda akcja zaczepna stwarza po pewnym czasie skuteczny system obronny, praktyka więc tutejsza ten ustaliła sposób, widocznie najskuteczniejszy ze znanych. Polegał on na tym, że zdjętą koszulę właściciel zbierał w ręku w górnym końcu, poczym trzymając nad ogniem szybko kręcił. Koszula nadymała się jak balon i przysiągłbym, że słyszałem trzaski... wymagał jednak zbyt wielkiej wprawy i właściwości ogniotrwałych wiejskiego p.ótna, żeby mógł być przez nas naśladowany.

Szczęściem, jeden z myśliwych, przezorność którego była powszechnie znana, miał ze sobą duże pudełko „Maoku" i to tylko nas prawdopodobnie uratowało od zjedzenia żywcem.

Po szybko przełkniętej kolacji ułożyliśmy się do snu, jak i gdzie kto mógł.

Ogień zaczął przygasać, a z nim rozpoczęły się harce szczurów. Tę fazę jednak opisał barwnie J. Ejsmond w swoich wspomnieniach. Opis jest najzupełniej prawdziwy, odnosi się bowiem nawet do tego samego kurenia, a chrapiącym osobnikiem był właśnie p. Wacław M., który tym razem również nas swoim koncertem uraczył. Znam jednak dobrze p. Wacława i wiem, że nie zawsze bywa jednakowo pod tym względem dobrze dysponowany. Mam zaś wszelkie prawo twierdzić, że nocy tej, którą opisuję, był on u szczytu formy.

Następne dwa dni miały przebieg podobny. Wstawaliśmy przed świtem; pogodę mieliśmy cudowną.

Wiosna robiła, pod wpływem słońca i ciepła, siedmiomilowe postępy. Kaczeńce zakwitały wspaniale, tworząc na niektórych terenach olbrzymie żółte kobierce.

Wody opadły o kilkanaście centymetrów, co miało ten skutek, że rośliny błotne do tej pory nieomal całkowicie nią przykryte, wyłoniły się, nabierając siły i zieloności.

Trafiały się już miejsca, gdzie obciążona łódka przejść nie mogła. Karpiej wówczas wchodził do wody i przepychał ją na głębsze miejsca. Miał jednak buty naprawdę nieprzemakalne: t. zw. „wytiażki", gdzie przyszwa z cholewą stanowi jedną całość. Takie buty to specjalność Dawidgródeckich szewców, a miasteczko to leżało niedaleko.

Cyranki szły coraz lepiej, a krzyżówek też było dużo. Lepsze okrycie wód przez trawy i rośliny błotne powodowało, że często przy przejeździe na inne stanowisko zrywały się kaczki dość blisko, umożliwiając strzały. Dzięki temu zdobyłem kilka kaczorków podgorzałek, dalsze egzemplarze czernic, oraz ciekawego kaczora polarnego (prawie cały czarny — z czubkiem). Na jednym ze stanowisk miałem możność obserwowania przez dłuższą chwilę z bliskiej odległości czarnego bociana, który nadleciał i usiadł koło naszej łozy. Piękny to ptak! Czerwień dzioba i nóg, kontrastując z ciemnym upierzeniem, wydaje się krwawa!

Cieszyły się one całkowitą ochroną, ale i bez niej pewniebym powstrzymał swoje mordercze instynkty, — tak mi zaimponował swoją elegancją.

Natomiast spotykanym jastrzębiom nie darowałem.

Jest ich dużo w tych stronach — przeważnie błotniaki.

Nie jest to typ drapieżnika, któryby ścigał i chwytał ptactwo błotne; poluje on ukradkiem, wyrządzając w późniejszym okresie duże szkody w młodzieży, wiosną zaś wypija jaja kacze, niszcząc gniazda.

Zabiłem ich tym razem 3 sztuki.

Chcę jeszcze opowiedzieć o jednym zdarzeniu, które nie przysporzyło mi laurów myśliwskich, lecz potwierdziło wysoką opinię, jaką sobie wyrobiłem o uzdolnieniach Karpieja.

Wabił cyranki i jak często się zdarzało, nadleciały dwie sztuki. Jedną z nich zabiłem i okazało się, że była to samica. Nie mogła widocznie pogodzić się z zamierzoną zdradą kochanka i kiedy ten porwał się do lotu, by odszukać piękną nieznajomą, towarzyszyła mu, chcąc go może jeszcze w ostatniej chwili ubłagać i powstrzymać.

Nie przypuszczam, żeby kaczorkom zdrada przychodziła z łatwością i bez walki wewnętrznej; dowodzi to więc, że Karpiej potrafił stworzyć tak silną pokusę, że i najlepsze zasady nie pomogły.

Trzy dni minęły jak w bajce! To też z wielkim żalem wyruszałem ostatniego wieczoru w powrotną drogę.

Zanosiło się na zmianę pogody; wieczór był ciepły i powoli wstawała mgła. Jechaliśmy wszyscy razem — Karpiej prowadził. Urodzony i wychowany na wsi, nie mogłem bez najwyższego podziwu obserwować, jak człowiek ten orientował się w tak trudnym terenie i w tak ciężkich warunkach (noc i mgła)- Wszędzie woda i łozy tak do siebie podobne, że nie dawały żadnych podstaw do orientacji, a tu jeszcze, naskutek opadania wód, trzeba było drogę wybierać, żeby nie utknąć w nocy na płytkich miejscach. Nie można więc było jechać nawprost. A jednak nie widziałem nigdy chwili wahania. Przeciwnie, coraz tłomaczył, jak ma zamiar dalej płynąć. Mówił więc, że pojedzie teraz takim to a takim rowem, później skręci w taki to kanał, później itd., a przecież wszystko to było jeszcze pod wodą! I ta mgła!

Trudno! nie zrozumiem, jakie do tego zmysły są potrzebne! Gdzieś po północy zajechaliśmy bez przeszkód do Kożangródka, gdzie nareszcie przespaliśmy się na czystej słomie.

Kiedy następnego wieczora żegnaliśmy się na dworcu Wschodnim w Warszawie, stanowiliśmy nielada sensację dla licznych podróżnych.

Za każdym z nas numerowy niósł po kilka pęków uczepionych na trokach pięknych, barwnych kaczorów i aż uginał się pod ich ciężarem.

St. Hahn.

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI

Najszczytniejsze łowiectwo

(DOKOŃCZENIE)

O ile chodzi o redukcję zwierzostanu przez odstrzał, to łań z dużej chmary **w czasie rykowiska** nie powinno się odstrzeliwać. Na to jest czas kiedy indziej. Strzał do dużej chmary może być tylko usprawiedliwiony wówczas, jeśli chodzi o selekcyjnego lub wyjątkowo kapitalnego jelenia. Odstrzeliwać łanie możemy po rykowisku lub lepiej po okresie cielenia, kiedy łatwo rozpoznać jałową łanię. Jeśli chodzi o zmniejszenie ilościowego stanu łań, to trzeba wybierać takie, które nie mają cieląt. Łanie takie nie mają widocznych wymion, co zwłaszcza z tyłu wyraźnie się zaznacza.

Dla pewniejszego strzału trzeba mieć oparcie. Nie zawsze znajduje się w miejscu, z którego chcemy strzelać, odpowiednie drzewo. Dobrze mieć specjalną zakończoną widełkami laskę. Autor dla tego celu skonstruował ciupagę o drewnianej rękojeści i przesuwanym kiju,



Strzał z rozsuwanej laski

który się mieści w aluminiowej rurze (rys. 1). Można ją w każdej chwili dzięki wielu dziurkom na rurze i kiju przy pomocy kołeczka, zaczepionego na rzemyku, ustawić na dowolną wysowość i strzelać w pozycji stojącej lub klęczącej, poziomo, w górę lub w dół. Przy strzale należy się starać, aby ubić jelenia na miejscu, czyli wybierać u zwierza jak najbardziej wrażliwe organy, więc komorę, a w niej serce lub też strzelać w szyję, a na bliższy dystans, gdy podpełzamy w wysokich trawach, ewentualnie w krzyż. Strzelać należy wówczas, gdy na linii strzału nie ma żadnych gałązek, krzaków itp. Bo nawet niewinna na pozór gałązka, zaczepiona nieznacznie kulą, może spowodować eksplozję ekspendującej kuli lub odchylenie trajektorii pocisku i trafienie w miejsce mniej wrażliwe, co spowoduje, zamiast natychmiastowej śmierci zwierza, postrzelenie, po którym byk może przejść kilka kilometrów bez zatrzymania i przeżyć czas jakiś.

Byki w czasie rykowiska są na wszelkie urazy bardzo odporne i tylko dobrze ulokowana kula może na miejscu położyć rogala. Tropienie rannego, strzelonego zwłaszcza o zmroku w liściastym lesie, nie daje zazwyczaj rezultatu, przychodzi dzień następny, a byk mógł w międzyczasie przejść już kilka kilometrów. Jeśli jest dobry tropowiec to są pewne szanse, że zwierza dojdziemy, ale już średni tropowiec, choć pójdzie początkowo za farbą to jednak jeśli trafi na świeży trop innego jelenia, lub trafi na dzika, czy lisa, to wówczas żegnaj jeleniu.

Przykłady te wskazują, jak ważną rzeczą jest mieć w nadleśnictwach, gdzie poluje się na jelenie, dobre posokowce, którymi można by się posiłkować przy wyszukiwaniu postrzałka. Mało tylko myśliwych hołduje tej zasadzie, aby polując na jelenie, mieć własnego tropowca, albo mieć na widoku tropowca, któ-



Tropowce z Białowieży

rym możnaby się w razie zaginionego postrzałka posiłkować. Wobec tego, że posokowiec może być użyty nie tylko na jelenie, ale też na inną ranną zwierzynę, jak: kozły i dziki, należałoby dążyć do tego, aby przynajmniej w każdym nadleśnictwie, gdzie jest grubsza zwierzyna, był jeden tropowiec, który przez jednego z leśniczych, lubiących psy, był utrzymywany na koszt nadleśnictwa. Jeśli to już nie może być prawdziwy tropowiec właściwej rasy, to dobrze, aby do tego celu był utrzymywany posokowiec, wyżeł lub jamnik, a z tych najbardziej nadawać się mają ostrowłose. Tropowiec utrzymywany przez nadleśnictwo musi mieć jednego pana, któryby go utrzymywał i układał, a który, w razie potrzeby, będzie go prowadził za farbą. Przebywanie tropowca raz tu, drugi raz tam, gdzie zdarzy się okazja, odbiera mu wszelką wartość i demoralizuje psa. Tropowce są zwłaszcza konieczne przy większych terenach leśnych, gdzie zraniona zwierzyna ma wielkie obszary do wędrówki oraz gdzie znajdują się bagna, rojsty, lub usłane kamieniami

i zwartą roślinnością ostępy górskie, gdzie myśliwy może posuwać się z trudem i bardzo wolno. O posokowcach pisał obecnie w „Łowcu Polskim“ w 1935 r. Nr. 16 i 18 Dr. Leon Ossowski. Myśliwym, którzy się hodowlą tego rodzaju psa interesują, można polecić powyższą pracę, jako treściwy wykład najpotrzebniejszych wiadomości.

Pies na ogół przy polowaniu nie powinien stale towarzyszyć myśliwemu, bo będzie raczej rozpraszać uwagę, aniżeli pomagać. Posokowiec, czy tropowiec dopiero potrzebny po strzale dla odszukania ranionej zwierzyny; gdy nawet wiemy gdzie leży zwierzyna, dobrze dla praktyki podprowadzić psa, aby on odnalazł zwierza. Pies wtedy zrozumie cel swego istnienia i nauki. (rys. 3).



Czternastak z Trzebienia, waga wieńca 7,5 kg.

Czy przy podchodzenu należy mieć kurek odciągnięty, a przyśpiesznik ściągnięty?

Na to pytanie należy odpowiedzieć negatywnie, gdyż zadaniem myśliwego jest przede wszystkim rozeznać jakość zwierza.

Strzał do jelenia, zwłaszcza wypracowanego przez podchodzenie na tłokach, należy oddać możliwie w największym spokoju i dla tego zawsze znajdzie się czas, aby kurek odwieść. Jeśli myśliwy nie może pohamować febry. czyli gorączki myśliwskiej, która często opanowuje wrażliwszych na widok grubszej zwierzyny, to lepiej zrezygnować ze strzału, a jeśli po tej rezygnacji naprawdę nie uspokoją się nerwy, to wówczas rzeczywiście zrezygnować, bo do jelenia nie można strzelać bez pewności strzału, nie można puknąć dla puknięcia. Podkradając się pod zwierza, należy myśleć nie o strzale, lecz o rozeznaniu.

W czasie najbliższym przed strzałem najlepiej być samemu i przed ostatecznym podchodzeniem nie mieć żadnej asysty, bo wszelkie uwagi, podszepty i wskazówki peszą i powodują zniecierpliwienie, względnie wywołują tzw gorączkę myśliwską. Myśliwy, skoro jest zdecydowany na strzał, nie powinien zwlekać, jeśli ma dobrze widocznego i na połać stojącego zwierza i czyste pole do strzału, bo nigdy nie możemy być pewni, że podającego nam komorę byka będziemy mieli ponownie na dobry strzał, nigdy nie wiemy, czy któraś ze sztuk, towarzyszących bykowi, nie zasłoni go lub nie zoczy myśliwego, czy jego towarzysza i nie ruszy do ucieczki. Strzału natomiast w biegu nie można być pewnym, w kłusie jest jeszcze dużo szans dobrego ulokowania kuli, ale w skokach trzeba mieć specjalną wprawę, aby na miejscu jelenia położyć. Wprawdzie strzelanie w strzelnicach do tak zwanych „jeleni“ w ruchu daje pewną wprawę, ale jelenie te posuwają się tam równo po linii prostej, jak zające, tymczasem jeleń, pędzący w skokach znacznie pogarsza szanse ulokowania kuli we właściwym miejscu. Nie należy też strzelać do leżącego byka, bo strzał taki często nie bywa śmiertelny; również jeśli widzimy jelenia w wysokiej trawie, to nie trzeba brać na muszkę jakiegoś niewidocznego wyimaginowanego miejsca, lecz strzelać w płuca według najniżej leżącej, a widocznej linii nad przednim biegiem. Zbytnio długie zwlekanie ze strzałem wywołuje myśliwską febrę, połączoną z biciem serca i drżeniem ręki, przez co strzał jest mniej pewnym. Jeśli pożądana zwierzyna leży, to lepiej zmusić ją do wstania przez złamanie gałązki lub ryknięcie, co spowoduje, że jeleń podniesie się i zacznie obserwować okolicę. Taki pojedyńczy trzask nie wywołuje paniki i ucieczki. Jeśli jeleń pasie się i oddala stale w jednym kierunku, to lepiej zaryczeć lub złamać gałązkę, by podał nam połeć lub stanął na sztych, lecz w żadnym wypadku nie należy strzelać z tyłu, bo taki strzał, zwłaszcza na dalszą metę, nie będzie skuteczny i zakończy się poranieniem. Kula, trafiwszy pod bardzo ostrym kątem stojącego tyłem zwierza, może odbić się i nie zaczepić komory. Strzały z tyłu kończą się zazwyczaj zranieniem tylnego biegu, co doprowadza do ciężkiej rany, ale nie pozbawia jelenia zdolności ucieszki, a następnie kłopotliwego, zwłaszcza w górach, wyszukiwania postrzałka.

Jeśli podchodzimy w towarzystwie przewodnika, to można zaczaić się w odpowiednim według wiatru punkcie, a swojemu towarzyszowi polecić pokazać się zwierzynie na 400 — 500 kroków z przeciwnej strony i zalecić odchodzić od zwierzyny w kierunku odwrotnym, niż samemu się podchodzi. Myśliwy zaś winien podkradać się ze swego stanowiska, ukrywając się za drzewa i krzaki, a przepełzając przez miejsca otwarte. Zwierzyna z zainteresowaniem będzie śledzić za odchodzącym, a myśliwy może mieć duże szanse, że nawet przy złych warunkach terenowych, uda mu się dojść na strzał do zwierza pilnie oczącego w przeciwnym kierunku. Jeśli zwierzyna zoczywszy odchodzących ruszy, to też są szanse, że odbiegając będzie stawać i może się zbliżyć do myśliwego zaczajonego ze strony przeciwnej. Trzeba jednak w takich wypadkach ciągle mieć zwierzynę na oku i nie dać się zauważyć na otwartym miejscu w postawie stojącej. Gdy strzelony zwierz upadnie, a jest w tym miejscu więcej zwierzyny, która strzałem np. w czasie ryku nie została spłoszona, to nie należy wychodzić na otwarte miejsce,

aby swym widokiem niepotrzebnie nie płoszyć zwierzyny, ale czekać aż zwierzyna odejdzie.

Strzelać jelenie musimy możliwie na zimno, obserwując jednocześnie wynik strzału. O ile zwierz padł w ogniu, to nie powinniśmy natychmast podchodzić, a przeciwnie, stojąc na miejscu z bronią gotową do strzału czekać, aż wyda ostatnie tchnienie. Zabitej zwierzyny nie powinno się też na miejscu patroszyć. Zwierz ciężko ranny, zoczywszy nawet w ostatnim momencie swego życia człowieka, uzyskuje jakby nowe siły i mocą paniki rzuci się do ucieczki, przebiegając jeszcze kilkaset kroków i schowa się gdzieś w gąszczach. Jeśli zwierz po strzale uchodzi, to oczywiśce należy poprawić, ale równocześnie trzeba zwracać uwagę na te punkty, przez które zwierz bieży i zaobserwować dokładnie, gdzie ostatecznie skryje się z oczu. To miejsce trzeba specjalnie zapamiętać, a potem na tropie właściwym zidentyfikować i zaznaczyć za pomocą widocznych kawałków papieru. Również należy oznaczyć miejsce, gdzie staliśmy w momencie strzału, skąd został strzelony zwierz i gdzie wreszcie znikł nam z oczu. Wszystko to w następstwie myśliwy winien pokazać leśniczemu, względnie straży leśnej, która tropić będzie, a to ułatwi wyszukanie postrzałka.

Myśliwy, strzelający do jelenia, powinien być pewny tego, że zwierza na miejscu położy, dlatego, oprócz punktu, w którym zwierz stał i drugiego, w którym ewentualnie znikł nam z oczu, koniecznym jest baczenie na zachowanie strzelonego zwierza. Głównie trzeba zwracać uwagę, czy postrzelony jeleń nie zaznaczy jakimś odruchem strzału. Odruchy są różnorodne i zależne, gdzie dosięgła zwierza kula. Potknięcie się zwierza przy pierwszych skokach będzie dowodem, że zostały zaczepione ośrodki nerwowe, co powinno spowodomać szybki upadek zwierza. Jeszcze bardziej przekonywującym dowodem, że kula została dobrze ulokowana, jest chwiejny bieg, t. j. rzucanie się, to w jedną, to w drugą stronę. Byki trafione w płuca padały zwykle w ogniu, podobno jednak czasem przy takim trafieniu jeleń przebiega kilkadziesiąt kroków ze łbem opuszczonym ku ziemi. Trafiony przeze mnie w serce czternastek zrobił metrowy skok w zwyż i zwalił się na drugą stronę góry o 25 kroków od miejsca zestrzału. Strzał w szyję z uszkodzeniem głównych kręgów, jak to mogłem zaobserwować na ubitym dwunastku, wywołuje momentalny upadek i zupełny bezruch kończyn. Przestrzelenie krzyża wywołuje upadek na wznak i wyrzucanie biegów, natomiast strzał nadkrzyżowy, czyli obcierka pióra od stosu pacierzowego lub przestrzelenie szczęk może wywołać momentalny upadek, lecz następnie podniesienie się i ucieczkę zwierza. Strzał niski w łopatkę lub strzał w udo wywołuje zaznaczenia, połączone jednak z powolną ucieczką zwierza. Jeśli współczesna kula trafi w łeb, w wątrobę lub nerki, to zwierz padnie w ogniu i po dłuższym lub krótszym męczeniu skończy. Strzał w żołądek lub kiszki powoduje zaznaczenie przez specjalny rytm pierwszych skoków, lecz zwierz nie prędko upadnie, a jeśli upadnie, to znów się podniesie może w ciągu doby uchodzić coraz dalej.

Strzał w badyle wywołuje skruszenie kości. Zwierz utykając stara się dostać w gąszcze i uchodzi. Zwierzyna raniona pozostawia na miejscu zestrzału lub nieco dalej na tropie farbę, którą koniecznie trzeba odszukać, czasem znajdują się kawałki kości, ścinki sierści lub skóry, prócz tego pierwsze kroki rannego zwierza dają specjalnie głębokie, często niesymetryczne tropy. Bardzo jasna farba jest dowodem trafienia w płóca, jasna lecz nieco ciemniejsza w mięśnie, brązowa oznacza trafienie w wątrobę.

Na jak daleką metę możemy strzelać do jeleni? Jest to rzeczą indywidualną dla każdego myśliwego. Polowanie na jelenie jest naogół kosztowne i zabiera dużo czasu, więc jeśli w strzale, często jedynym w ciągu tygodniowego polowania, ma byćześrodkowany cały i ostateczny efekt, to strzału powinniśmy być najzupełniej pewni. Najlepiej zatem wypróbować w ciągu kilku dni przed rykowiskiem broń i lunetę oraz oko i rękę, wystrzeliwszy przed polowaniem w ciągu kilku dni po 10 czy 20 naboi do tarczy i próbując strzelać na różne odległości. Praktyka najlepiej wskaże jaki rezulat i na jaki dystans z określonej broni najlepiej osiągamy. Tego należy się trzymać. Strzałów na zbyt wielkie odległości należy unikać, pamiętając, że nie tylko mamy trafić, ale dobrze trafić.

Strzelanie na dalszą odległość z precyzyjnej broni ma prócz mniejszych szans trafienia, jeszcze tę niedogodność, że strzelamy do niezupełnie zdefiniowanego pod względem jakości wieńca byka.

Oprócz strzelania z podchodu możemy jeszcze stosować inne sposoby, aby upolować jelenia. Będą to polowania z ambony oraz polowania z nieliczną naganką, tj. ciche pędzenie lub wyciskanie jelenia z gąszczów. Oba te rodzaje polowań są mniej emocjonalne, ale naogół mniej nużące i w skutkach prowadzą często do strzału, o ile oczywiście ostoja jeleni była pod dobrą obserwacją leśnika, z zainteresowaniem i zrozumieniem śledzącego zwierzynę płową. Amboną może posiłkować się i myśliwy tropiciel, jako miejscem obserwacji oraz odpoczynku. Jako punkt, ze względu na ruchy zwierzyny wybrany zawczasu, jako miejsce znajdujące się na pewnej wysokości, daje ambona możność daleko bardziej rozległego pola widzenia, a więc zaobserwowania większej ilości i jakości zwierzyny. Jeśli ambona jest ustawiona w pobliżu uczęszczanych przesmyków jeleni, obok której wytropiono świeże ślady, to z ambony można w ciągu paru posiedzeń dojść do strzału. Ambona wskazana jest szczególnie dla myśliwych starszych, dla których chodzenie po wertepach leśnych jest połączone z pewnymi trudnościami. Dla myśliwych obdarzonych pewnym temperamentem siedzenie na ambonie jest często uciążliwe.

Ambony położone na 6 — 8 m. ponad ziemią mają tę właściwość, że przy odpowiednim wietrze rano i w dzień zwierzyna, już po pewnym

czasie po wejściu na ambonę, może nie wyczuć myśliwego. Natomiast gorzej przedstawia się sprawa wieczorem, przy tak zwanych zstępujących wiatrach, odwiatr ukrytego myśliwego ma tendencje, wraz z ruchami powietrza do opadania w gąszcze i może spowodować zwietrzenie i przedwczesną ucieczkę płowej zwierzyny. Dlatego uważam, że wieczorem przy braku wiatru ambony są mniej przydatne aniżeli rano. Wychodzić rano do upatrzonej ambony, trzeba bardzo wcześnie, na godzinę lub dwie przed brzaskiem należy być na miejscu, aby ślady myśliwego pokryła ranna rosa, trzeba też możliwie unikać przecinania uczęszczanych przez jelenie przesmyków i starać się możliwie najbliżej podjechać do ambony. Ślady koni mniej wywołują u jelenia podejrzeń aniżeli ślad pojedyńczego człowieka.

Polowanie z naganką na jelenie jest najmniej ciekawe, a jeśli zależy na selekcji zwierzyny, tak byków jak łań, jest najmniej racjonalne. Jeleń, jest zbyt szlachetną zwierzyną i zbyt dużo ma walorów indywidualnych ze względów na swoje zmysły i inteligencję, z którym myśliwy winien starać się zmierzyć, aby mógł być masowo wybijany.

Innego rodzaju polowanie jest tak zwane wyciskanie pojedyńczych jeleni według tropów z ich ostoi na wiadome przesmyki lub na myśliwego. Ten rodzaj polowania jako urozmaicający łowy z podchodu, jako wymagający znajomości kniei, ma swoje usprawiedliwienie z tego względu, że nie każdy jeleń chce wyjść na wabia oraz że nie każdego jelenia, który z gąszczu nie wychodzi, uda się podejść. Jeśli chodzi zwłaszcza o byki, kóre tylko wśród zupełnej nocy wychodzą na otwarte miejsce, to ten zabieg jest zupełnie na miejscu. Wypłoszenie z gąszczu ukrywającego się starego tajemniczego rogala, którego zna się tylko z tropów. ma zupełnie racjonalną podstawę i doprowadzić może do emocjonującego spotkania.

Nie należy tylko strzelać w gąszczu do pierwszej spostrzeżonej sztuki, bo może to nie będzie ten byk, o którego nam chodzi, ale inny młodszy jeleń lub łania przyjaciółka.

Polując od lat kilkunastu na rogacze i jelenie posiłkowałem się sztucerem Mannlicherem o kal. 8,2 mm. Wobec tego, że w pierwszych latach zdarzyło mi się parę pudeł na dalsze dystanse, dokupiłem sobie czterokrotną lunetę, którą przypasowano mi do sztucera. Uważam, że przy pomocy takiej lunety strzelać można o 100 kroków dalej, aniżeli bez lunety. Ładunki używałem z częściowo odsłoniętym płaszczem lub pełne z wydrążeniem od szpicu oryginalne Mannlichera „Sporting Cartrages“, albo Reńsko-Westf. Tow. Akc. Mat. Wyb: w Norymberdze pod nazwą „H-Mantel Geschoss Hohlspitze“ o wadze 2,1 gr. pocisku i wadze prochu 2,8 gr, albo tejże firmy pod nazwą „Rundkopf“ o ładunku prochu 2,65 gr. Przy tych nabojach nie zdarzyło mi się. aby trafiona zwierzyna uszła z pola widzenia. Wszystkie jelenie padały w ogniu, a jeden leżał o kilkadziesiąt kroków od miejsca zestrzału. W dwóch wypadkach gorzej strzelone, bo w brzuch, rogacze leżały w odległości nie dalej jak dwieście kroków, kilkanaście rogaczy padło w ogniu. Jeśli chodzi o strzał bardzo szybki, np. przy wabieniu jelenia w zagajnikach, to luneta będzie oczywiście przeszkadzać i należy ją zdjąć i włożyć do głębokiej kieszeni. Mannlicher w tych wypadkach jest bronią mało przykładną i dlatego wygodniej używać broń taką, jaką stosuje się powszechnie przy polowaniu w gąszczach na dziki, a więc przykładny dwulufowy sztucer lub trzylufkę. Przekonałem się o tym, zwabiwszy raz w zagajnikach dobrego dwunastaka na 30 kroków, widziałem go w ruchu jak biegł ku mnie i naraz w chwili gdy go rozpoznałem zawrócił w ułamku sekundy. Nie zdążyłem go wziąść na cel z Mannlichera, a on znikł jak kamfora i zobaczyłem go dopiero o 400 kroków na wzgórzu, jak w całym pędzie sadził z zagajnika, gdzie przez godzinę blisko wymyślaliśmy sobie bez pardonu w jeleniej gwarze. Dla ubicia na miejscu, bardzo ważnym jest użycie takiej kuli, aby rozerwała się wewnątrz komory zwierza, lub robiła dużą wyjściową ranę, przez co łatwiej postrzałka wytropić. W pierwszym wypadku jeleń oczywiście przewróci się na miejscu. Częste wypadki poranienia zwierzyny zachodzą przy użyciu broni o kalibrze mniejszym jak 8 mm, a szczególniej przy kulach całkowicie opancerzonych.

Broń lekka jest wygodna w noszeniu i może dać dostateczny efekt przy strzelaniu rogaczy o wadze 130 kg, ale stary byk o wadze 150 — 250 kg musi otrzymać silniejszy pocisk. Dla tego też nie można sobie pozwolić na broń, która jest zbyt lekka. a ładunek zbyt mały. A. Mniszek w swym artykule „Jeleń w Karpatach“ poleca kal. 9 mm.

P. Podoski w artykule pt. „Mody w kniei“ rekomenduje broń trzylufkę, o jednej lufie kulowej, jednej do kul Brennecke i jednej śrutowej normalnej. Kule Brennecke, jak podaje p. Podoski, są w wydaniu niemieckim nadzwyczaj celne do 70 m., poza tym posiadają wyjątkową moc rażenia praktycznego ze względu na swój wielki kaliber.

Broń taka, mając przymocowaną a łatwo odejmowaną lunetę, może wszechstronnie nadawać się do polowania na jelenie w każdym wypadku, o ile lufa gwintowana ma odpowiednią średnicę i da się zastosować półpłaszczową kulę. Można z niej bowiem szybko strzelać kulą Brennecke przy wabieniu w gąszczach lub do biegnącego zwierza, a przy podchodzeniu lub z ambony możemy strzelać z gwintowanej lufy przez lunetę na 150 — 200 kroków. Jest to jednocześnie broń odpowiednia do strzelania w zimie z naganką w łowiskach, gdzie jest różnorodna zwierzyna i gdzie obok zająca i lisa można się spotkać z dzikiem. Trzeba wyrazić tylko jedno zastrzeżenie, że lepiej aby obie lufy były przystrzelone do kul Brennecke, bo przy polowaniu na dziki w zimie łatwo o pomyłkę.

Adam Ożga w Łowcu Nr. 13 — 14 z 1938 r. w artykule ;;Magnum“ zaleca kule ;;H. Mantelgeschoss“, w których koniec pocisku tworzy

albo płaszcz miedziany wewnątrz pusty, albo może to być szpic ołowiany. Pocisk typu pierwszego pęka mniej więcej jak szrapnel przy jakimkolwiek zetknięciu, np. przy uderzeniu z gałązką nawet bardzo cieniutką. Pocisk typu drugiego jest lepszy jeśli chodzi o kniej, odporniejszy w razie zetknięcia z gałązkami i pęka dopiero przy zetknięciu z czymś twardym. W praktyce uważa p. Ożga kulę tę za idealną na wszelką zwierzynę.

Inż. Walery Mariański podaje w „Łowcu Polskim" Nr. 9 1939 r. ciekawe uwagi odnośnie rozpryskiwania się pocisku w zależności od chyżości wlotowej i robi uwagę, że im większa ilość tych odprysków, tym porażenie jest większe.

Przytoczyłem kilka poglądów na broń, jaką można używać przy polowaniu na jelenie, — trzeba zaś mieć zawsze jeden wzgląd na uwadze, mianowicie: trafić należy zwierza tak, aby trafiony nie uszedł i aby się nie męczył.

Na zakończenie rozważań o polowaniach na jelenie muszę podkreślić, że celem tego polowania jest zdobycie prawdziwego trofeum, a do tego trzeba pewnego nastawienia myśliwego, który przyjeżdża na rykowisko. Jeleń staje się łownym, czyli dać może dobry wieniec po dojściu do całkowitego rozwoju, co ma miejsce pomiędzy siódmym, ósmym rokiem życia. Strzelając jelenie młodsze niszczymy podstawowe warunki rogali na wolnej stopie i możemy nigdy nie doczekać się w łowisku dobrych wieńców. A przecież osiem lat to nie optimum rozwoju. Bo po dojściu do tego wieku jeleń przeważnie jest średnim, a wieniec jego przez dalsze osiem lat przy odpowiednich warunkach nabywa wagi, odnóg i pereł. W tym właśnie okresie od 8 — 16 lat jeleń stać się może grubym, a nawet kapitalnym, jak to widzimy na



Dwudziestak J. Regulskiego z Sołotwiny Mizuńskiej

fot. Nr. 4). Po dojściu do maksymalnego rozwoju wieńca, mamy cofanie się wieńca, czyli jeleń staje się wstecznym. W tym okresie rogali zaliczyć należy polowanie do najciekawszych, bo myśliwy ma do czynienia ze starym, wytrawnym bykiem.

T. Śliwiński

ZBIGNIEW KOWALSKI

Toki głuszczowe w Białowieży

II (dokończenie)

14 kwiecień 1946r.

Raporty Niemcunowicza o głuszcach są nader pesymistyczne, a gdy i podsłuchy wieczorne nie dają rezultatu, pozostaję na ranek w gajówce.

Budzi mnie słońce, które wędrując prostokątnymi plamami po podłodze, wdrapało się aż na łóżko i zaświeciło mi prosto w twarz.

Słysząc w izbie ruch, zjawia się strażnik, pozdrawiając i meldując, że był już w lesie o zorzy.

— No, ileż wysłuchaliście kogutów, Niemcunowicz?

— Jednego tylko, jednego — zamartwia się stary wyga — i to na innym całkiem miejscu, nieznanym.

— To co się stało z głuszcami, do licha!

— Pobili Panie, wszystko pobili. Najprzód niemieckie forstmeistrzy, potem wojsko, które po Puszczy stało. A teraz znów kłusowniki. A przedtem to bywało graczy bogato. Bogaato!

— Przed wojną?

— Przed wojną też. Ale za caryzmu była ich ćma. Na Starzynie śpiewało kogutów, no... pięćdziesiąt.

— Spróbujemy jutro na ranku wysłuchać.

— Można — powiada z ociąganiem się Niemcunowicz.

15 kwiecień 1946 r.

Z ociąganiem też prowadzi mnie rankiem osacznik do kniei. Marudzi, przystaje, poza tym nieustannie kaszle i narzeka.

— Oj, ciężko staremu, ciężko.

— Przeziębiliście się, Niemcunowicz.

— Przeziębić to się, chwała Najwyższemu, jeszcze nigdy nie przeziębiłem. Ale z wiosną starego łamie po kościach aż strach.

Grunt faluje, zniża się nieco, masztowe sosny przechodzą w bagienną, o niemożliwym do rozpoznania wieku dwuchset czy pięćdziesięcioletnią dragowinę. Pachnie bahun, krzaki

jagód i żórawin biją po cholewach, szeleszczą pod stopami zeschnięte wrzosy.

— To tu pewno były tokowiska?

— A były, były.

I znów chwyta strażnika atak kaszlu, aż zaczynam mu się przyglądać podejrzliwie.

Grunt jest coraz bardziej płaski i miękki. Sosenki z grzywiastych, rozczochranych drzew, stają się karłowate: ot pokręcony patyk z wiechetką igieł w koronie. Trzcina zagradza raz po raz drogę. Błoto cmoka w takt kroków.

Nad głową na prawo i lewo ucieka dukt, znaczony jaśniejszym pasem rozpylonej po niebie mlecznej drogi.

Przystajemy.

Cisza, aż dzwoni w uszach.

Niemcunowicz przysiada na pieńku. Ja w milczeniu stoję i słucham.

Nagle daleko, w głębi ginącej w pomroce nocnej przesieki, pęka, jakby szklana banieczka, dźwięk niezapomniany, znajomy, jedyny, ton głównej głuszcowej pieśni.

Jestem jednak tak zasugerowany słowami Niemcunowicza, że nie wierzę własnym uszom. Może to tylko przywidzenie. Przecież pamiętam dokładnie, jak nieraz, kiedy to o przedświcie wsłuchiwałem się w nabożną ciszę lasu, myliły ucho niezrozumiałym podobieństwem do śpiewu głuszca to krople padającej rosy, to trzaśnięcie gałązki, to znów skrzypienie poruszanego wiatrem pnia.

Znów daleki korek, i jeszcze raz, i znowu.

Jednocześnie strażnik podnosi się, chce ruszać dalej. Wstrzymuję go cichym głosem.

— Poczekajcie tu trochę Niemcunowicz, a ja podejdę linią, posłucham.

— Jak chcecie, Panie.

Droga na dukcie wiedzie po igliwiu, jest gładka, prawie wyfroterowana, tak, że choć ledwo zaczyna szarzeć, jestem już pod głuszcem.

Ciemno jeszcze w głębi lasu zupełnie, opieram się więc wygodnie o pień grubej sosny, która nie zdradzi mej obecności drgnięciem wierzchołka, i postanawiam czekać i słuchać.

A kogut ukryty w kępie trzech sosen gra, przerywa, znów śpiewa i łażąc, chrobocze po żółtawej, choć jej jeszcze nie widzę, ale wiem jakiej, odłażącej od gałęzi korze.

Nagle jedna z normalnych, stałych, co kilkanaście pieśni pauz, zaczyna się coś zanadto dłużyć. O, staje się mocno zadługa...

Jednocześnie czuję na sobie jakby czyjś uporczywy, ostry wzrok.

Orientując się doskonale w najróżnorodniejszych możliwościach spotkań w Puszczy — cierpnę, a potym czuję wyraźnie, jak robi mi się gorąco. Jednocześnie ruchem tak wolnym, jakim podnosi się strzelbę w kierunku idącego na sztych wilka, odwracam głowę.

Nie dalej jak o 10 kroków, na samym środku maleńkiej polanki stoi Niemcunowicz i macha zajadle czapką w kierunku siedzącego w drzewach głuszca.

Na strzał jest jeszcze zawcześnie, koguta zupełnie nie widzę. Decyduję się czekać i zobaczyć, co dalej z całej sprawy wyniknie.

Gwałtowne ruchy strażnika nie mogą jakoś zmusić gracza do zerwania się do lotu. Wtedy Niemcunowicz zaczyna kaszleć. Głuszec ciągle siedzi. Wreszcie, kiedy stary dostaje ataku kokluszu, kogut, trzaskając skrzydłami po gałęziach, odlatuje.

Trudno mi się jakoś gniewać na Niemcunowicza; tak niespotykana jest obecnie dbałość o zwierzostan, tak rzadki jest brak chęci na napiwek. Zachowanie się strażnika zaczyna mi w sumie imponować, bo przecież Niemcunowicz nie zna mnie, ani moich ambicji myśliwskich i nie wie, że poza krwiożerczym instynktem zabicia, mogą drzemać w duszy prawdziwego myśliwego o wiele poważniejsze i mocniejsze odczucia.

Nie mówię więc ani słowa, Niemcunowicz też się nie odzywa. W milczeniu idziemy wolnym zupełnie krokiem coraz dalej w głąb kniei przed siebie.

Puszcza przeciąga się, jakby lekkim wiaterkiem po przebudzeniu i staje się coraz piękniejsza. Zorze rozpalają się po niebie złote, seledynowe i krwiste. Zbudzony dniem drobiazg ptasi podaje sobie od drzewa do drzewa wiadomość o wędrujących lasem ludziach. Jasno już. Gołym okiem dostrzec można krokusy, wychylające swe liliowe główki ze mchu.

Wsłuchując się w poszumy drzew i ptasie pogwizdy, wysupłuję nagle z dziesiątka innych głosów głuszcową pieśń. Do miejsca toku jest jeszcze daleko, idę więc swobodnie bez specjalnych ostrożności. Kiedy zbliżamy się na 150 100 kroków, słyszę wyraźnie, że gra trzy, cztery, a może nawet więcej kogutów.

Jeszcze kilka minut i kilkanaście skoków i nawprost przede mną otwiera się niecodzienny widok na nizinach toku głuszcowego na ziemi.

Na żwirowatym pagórku między rzadkimi sosenkami trzy koguty tańcują i drepcą to wkółko, to w miejscu. Klapanie, szlif i bicie skrzydłami zlewają się w jeden głośny, idący lasem hałas.

Nie wiem, czy można powiedzieć o tokujących głuszcach, że są zacietrzewione, ale nie robi mi żadnej trudności podejście do czubiących się ptaków na piętnaście kroków.

Koguty, podrywając się ku górze, tłuką się jak nieprzytomne, aż lecą pióra. Zadumane głuszyce, o wtulonych w barki główkach, zdają się obojętnie patrzeć z wysokości lóż-sosenek na odbywające się zapasy.

Widok w pełnym świetle dnia i na tak nieprawdopodobnie bliską metę jest nie do opisania.

Teraz dopiero na żyjącym na wolności dzikim ptaku można zupełne dokładnie stwierdzić, jak pięknie sharmonizowane są cztery zasadnicze barwy, zdobiące koguta: niebieska, czarna, zielona i brunatna. Teraz dopiero widać jak wytworne jest marmurkowanie rudawych piór głuszycy. Po raz pierwszy naprawdę widzę różnicę między ptakiem żywym, martwym i wypchanym.

Nagle jeden z kogutów musiał coś spostrzec, czy przeczuć, bowiem zerwał się hałaśliwie z

ziemi i ulokowawszy się na niedalekiej gałęzi zaczął oczyć w moim kierunku, przekrzywiając zabawnie łeb w jedną i drugą stronę i kręcąc cienką teraz, wężową szyją.

Strzelenie jednego koguta z pośród tej roztokowanej kompanii najwidoczniej nawet Niemcunowicz uważał za zupełnie słuszne, gdyż nie zaprotestował, kiedy podnosiłem broń do oka.

Po strzale na tak bliską metę kogut nie trzęsnął nawet skrzydłami, tylko wtulił się bezwładnym ruchem między kępy mchu i pozostał nieruchomy.

Wracaliśmy wolniutko, przystając i gawędząc.

Swoim zwyczajem niosłem zawieszonego na drążku koguta, a kogut był siężki, ważył bowiem równo 5 kilogramów. To też wypoczywaliśmy po drodze kilkakrotnie

Naprzekór pesymizmowi Niemcunowicza co do stanu głuszców w Puszczy, towarzysząca mi łowiecka przygoda, kazała w chwili jednego z odpoczynków rzucić trofeum na ziemię.

— Gra — szepczę do strażnika.

— Chyba nie. Napewno nie — protestuje z widoczną już złością Niemcunowicz.

— Podskoczę zobaczyć.

Te ostatnie dwa słowa podrzucają starym osacznikiem. Siwa broda zaczyna mu się trząść.

— Nie dam, nie dam — krzyczy podniesionym głosem.

— Ale ja wcale nie chcę strzelać.

— Nie dam.

— Więc trzymajcie moją strzelbę.

Niemcunowicz przygląda mi się uważnie, a potem mówi teraz już zupełnie spokojnie.

— Tak, to co innego.

Oddaję więc strażnikowi dubeltówkę i zaraz zaczynam skakać w kierunku grającego ptaka.

Stoję potem pod zanoszącym się od śpiewu kogutem nie dalej niż o trzydzieści kroków i nie krócej niż z dziesięć minut.

Jest już tak jasno, że możnaby głuszca filmować we wszystkich znanych, opisywanych, fotografowanych i malowanych pozycjach: z przodu, do boku, z zarzuconym na plecy wachlarzem, z opuszczoną głową, wypatrującego kury po gąszczach, i znów pozującego z boku i znów z przodu i jeszcze raz od tyłu.

Wreszcie kiedy wypatrywana głuszyca oznajmia się miękkim, jakby przez nos kwoktaniem i przesuwa się cichym lotem między pniami, kogut uwalnia mnie z przymusowej niewoli, zrywając się i ciągnąc w ślad.

Wracam na drogę. Niemcunowicz oddaje mi strzelbę i mówi:

— No, pan to prawdziwy myśliwy.

I zabitego głuszca nie daje mi nieść ani kroku dalej.

16 kwietnia 1946 r.

Jedziemy zwiedzać z Zabłockim zwierzyniec żubrowy. Droga, jak nigdy w Puszczy, zawalona jest długim wężem ciągnących furmanek. To wracają wysiedleni specjalnym dekretem Goeringa mieszkańcy wsi Budy, Czerlonka, Topiły, Dziedzinki i innych. Wsie te, leżące enklawami po Puszczy, których wyrwać z serca lasu nie udało się ani dawnym sejmom Rzplitej, ani ukazom carskim, ani wymianom proponowanym przez Rząd Polski, jednym pociągnięciem pióra i bata zostały z mapy białowieskiej skreślone przez hitlerowski Forstverwaltung.

Ale niemieckie nakazy, jak wszystko łatwo niszczyły, ale nic nie budowały. Ludność została w parę godzin wysiedlona, obejścia w oczach odchodzących ludzi spalone. Po tym na miejscu osiedla sterczały tylko kikuty zwęglonych kominów i pleniły się burzany. Lasu nie posadzono tam nigdy.

To też dziś wracają dawni osadnicy królewscy cygańskimi budami, chłodno i boso, by zaczynać żyć od początku.

Do zwierzyńca nie dojeżdżamy, psuje się nam bowiem „Oppel", tym razem zdaje się dość poważnie.

Szczęśliwie szofer, nadzwyczajny majsterklepka, dorabia z kawałka piłki złamany trzpień od pompki.

Kiedy wracaliśmy do Hajnówki, zamiast po półtora godzinnej przejażdżce, po 6-godzinnej podróży, zatrzymuje nas na rogatce milicjant Po sprawdzeniu papierów widzę, że kapral oddycha głęboko.

— Już myślałem, że was rozwalili gdzieś w lesie.

— Dlaczego?

— Bo mecenas alarmował wszystkie posterunki o waszym zniknięciu. Nic dziwnego—telefon w Zwierzyńcu o 12-ej zameldował, że nie przyjechaliście. Nawet patrol na poszukiwania wysłano.

— Nie spotkaliśmy go jakoś.

Mecenasa zastajemy zdenerwowanego i roztrzęsionego.

— Już byłem przekonany, że mi samochód diabli wzięli — wita nas na progu leśniczówki.

Przygodę, której nie było, zapijamy w sąsiadującym z Nadleśnictwem sklepiku lampką czystej.

17 kwiecień 1946 r.

Wieczorny podchód z Mecenasem, który chce koniecznie zabić koguta, nie udaje się. Myśliwy ani rusz nie może wypatrzeć grającego w sosnach ptaka. Wracamy z niczym.

Noc przy ognisku, pod świerkami, pozostawia niezatarte wrażenie i przywołuje wzruszające do głębi wspomnienia setki takich samych, spędzonych przed kureniem nocy.

Jedno jest tylko wrażenie nowe, obce i nieprzyjemne.

W pewnej chwili wysoko pod niebem zaczyna brzęczeć i pojękiwać lecący bombowiec. Przepływa nad nami, zawraca, dudni i huczy motorami. Potem gdzieś na horyzoncie przy ziemi tryska ku górze zielona gwiazda rakiety. Jarzy się, rozpala, spada i gaśnie.

Samolot powoli zawraca, oddala się. Huk motorów cichnie.

— Co to było? -- pytam strażnika.

— Zrzutki dla partyzanów — odpowiada spokojnie Szpakowicz.

Buzują się smolne szczapy, tryska trawiona płomieniami żywica, odblask ognia pełza po lesie coraz dalej i dalej.

Odzywa się w kniei puchacz. Nareszcie znajomy głos leśny, puszczański. Otrząsam się z przygnębiającego wrażenia, jakie opadło mnie po przelocie bombowca.

Rankiem podprowadzam znów Mecenasa do śpiewającego, jak Kiepura, koguta. Niestety, głuszec, ze skurtyzowanym śrutami ogonem, odlatuje zdrów, a może nawet i wesół.

No cóż pech, jak to pech, kiedy już przyjdzie — to odczepić się od niego nie można.

A poza tym, przewodnik, czyli ja, był znowu do pieca, teren do bani, nabój do d... i t. d., i t. d:

Zabłocki za to strzela drugiego głuszca. Mecenas markotnieje więc tak bardzo, że Zbyszek odstępuje mu swoje ostatnie trofeum w prezencie.

Ruszamy z powrotem.

Potem ładujemy się do samochodu. Ale o tym równie pisać nie lubię, jak bardzo nie lubię wracać z łowów...

Z. Kowalski



Tokowik — rys. K. Tarnowski

LEON KON

Na północnym Kaukazie

(Dokończenie)

Ismaił rozstawił nas wzdłuż wąskiej ścieżyny, wijącej się pomiędzy haszczami.

Miałem przed sobą krzaki sięgające po pas. Niedaleko widać oddaliliśmy się od auła, bo szczekanie psów słyszałem wyraźnie. Poza tym dookoła zupełna cisza.

Na skrzydle Ismaił zatrąbił przez lufę.

Odezwało się kilka głosów ze strony naganki i znowu cisza, od czasu do czasu przerywana ujadaniem psów wioskowych.

Pewno nic nie będzie w tym miocie, — za blisko jesteśmy osiedla, żal tych trudów wspinaczki i czasu dla takiego beznadziejnego miotu, myślałem. Ogarnęła mnie niechęć człowieka, który zdobył się na duży wysiłek i raptem przekonał się, że to nie miało sensu. Z rezygnacją czekałem na zakończenie miotu.

Ze strony naganki — ani dźwięku. Może sobie stoi w miejscu — przychodziło mi do głowy. Zaczynało być nudno. Minuty wydawały się nieskończenie długie.

Raptem ucho moje wyłowiło jakiś leciutki szmer tuż przede mną. Jakby suchy liść zaszeleścił. Odruchowo rzuciłem wzrokiem w podejrzanym kierunku.

Z za krzaka, o jakie dziesięć kroków, wysunął się szary łeb kota i znieruchomiał.

„Niech cię wszyscy diabli porwą"! — zakląłem w duchu. — Tych kpin jeszcze brakowało. Domowe koty mi włażą pod lufy, kiedy ja poluję na dzika. Do lasu ci się zachciało, szary draniu, — nie możesz sobie szukać swoich myszy koło domu!? Co za pomysł zakładać miot pod samym aułem"!

Złość mnie ogarnęła i już chciałem palnąć w ten łeb, ale powstrzymała mnie obawa, że za podobny strzał na dziczym polowaniu wezmą mnie potem na języki.

Trochę dziwnym jednak wydał mi się ten łeb. Zbyt duży na zwykłego kota. Pewno to jakaś tutejsza rasa, rozmyślałem. O czym wtedy myślał mój kot — niewiadoo, ale niespodzianie zrobił naprzód dwa, trzy kroki. Zobaczyłem go całego. Był znacznie większy od zwykłego kota, boki miał ciemno-pręgowane, jak tygrysa, krótki, dość gruby ogon, którym porywiście, jakby w złości, nerwowo merdał w prawo i w lewo.

„Żbik" jak błyskawica przemknęło mi przez mózg.

Szybki strzał z rzutu, ale już przez krzak, bo w ciągu tego ułamka sekundy, zużytego na podniesienie strzelby do oka, kot cofnął się za krzak, z za którego wyszedł.

Usłyszałem krótkie szamotanie się po suchych liściach i wszystko ucichło.

„Jest"! — odetchnąłem z ulgą. Korciło mnie zejść ze swego stanowiska i zobaczyć jak wygląda moja zdobycz, ale nie odważyłem się naruszać dobre zwyczaje łowieckie, — niech się miot skończy, a wtedy zejdę.

Podczas tego miotu — więcej ani jednego strzału. Naganka już na linii. Mogłem więc zajrzeć za krzaki. Zajrzałem. W miejscu, gdzie po strzale usłyszałem szamotanie, zobaczyłem rozgrzebane liście i sporo posoki, ale żbika tam nie było.

Gdzież mógł podziać się? Gdyby ranny, a było to niewątpliwe, odpełzał lub odchodził, — musiał bym to usłyszeć, bo teren dookoła był wysłany suchymi jak pieprz liśćmi. Bez szmeru, wydawało się, nie mógł ujść. A jednak uszedł, gdyż go nie było.

Masz tobie europejskie wychowanie myśliwskie! Z przepisami w porządku, na stanowisku dotrwało się do końca miotu, ale żbika zato nie ma.

Ciekawi mojego strzału wszscy myśliwi zebrali się koło mnie. Opowiedziałem jak było.

— Tc, tc; tc... — pokiwał głową Habisz. — Za zwierzem trzeba chodzić, a nie stać w miejscu. Poco stać w miejscu? Takiego prawidła u nas nie ma. A wreszcie dziki kot to mały zwierz. Jeżeli poszedł, to niech sobie idzie. Skóra mała, — jeść nie można.

Nie mogłem jednak pogodzić się z tym, że straciłem takie rzadkie i cenne dla mnie trofeum, Poprosiłem Ismaiła, żeby kazał nagance jeszcze przeszukać miot.

Jak wielka była moja radość, gdy po kilku minutach jeden z naganiaczy krzyknął gdzieś niedaleko „Midegakua"- (chodź do mnie). Rzuciłem się w tym kierunku. O kilkadziesiąt kroków od mego stanowiska leżał martwy żbik.

Ale w jaki sposób uszedł on śmiertelnie ranny, z odbitym zadem, będąc ode mnie o dziesięć kroków, po suchych, szeleszczących liściach bez żadnego szmeru, — tego do dziś dnia zrozumieć nie mogę. Nadzwyczajna jest ta kocia zwinność.

W następnych dwóch miotach padły dwa lisy. Jednego z nich zabił Safurka. Był to t. zw. „krzyżak"; bo miał pod gardłem na piersi czarną sporą łatę, przypominającą swoją formą krzyż.

Dopiero w ostatnim miocie naganka ruszyła ogromnego odyńca. O możliwości spotkania się z nim Ismaił nas uprzedził. O tym odyńcu mówiono, że już od paru lat trzyma się okolic auła Koszorokowa, ale nie można go zabić, bo ma pod skórą taką warstwę „kałkanu" (tłuszczu), której kula przebić nie może.

Ile tego tłuszczu miał na sobie ten odyniec nie udało się nam sprawdzić, ale że miał szczęście to istotna prawda. Staliśmy wzdłuż wąskiej ścieżki, prowadzącej z góry na dół po łagodnym zboczu wśród gęstych zarośli. Dzik poszedł wzdłuż linii myśliwych i wbrew tutejszemu dziczemu zwyczajowi w kierunku z góry na dół. Strzelał do niego Ismaił, potem Kokos i Safurka, Habiszowi strzelba nie wypaliła, a miał on dzika od siebie najwyżej na odległości czterech — pięciu kroków. Następnie dzik zmienił kierunek i przerwał się przez linię myśliwych pomiędzy mną a Habiszem. Tylko ja jeden nie strzelałem, bo odyniec był zbyt daleko. Na chwilę mignął mi przed oczami, potwornie wielki, dudniący po suchej ziemi, jak koń w wyciągniętym galopie.

Miało dziczysko szczęście w tym naszym myśliwskim nieszczęściu.

Zaledwie parę dni wysiedzieliśmy na kwaterach. Wypędziło nas z domu zaproszenie księcia Hatażuko.

Mieliśmy przed sobą szmat drogi. Gdy zapytałem mojego konnego luzaka Ojta, Kabardyna, pochodzącego z auła Hatażukino, jak będzie daleko od Nalczyka, powiedział, że „dzień pojedziesz, dwa pojedziesz i będzie Hatażukino". Habisz zapewniał, że Ojt liczy odległość po kabardyńsku, bo po drodze jest jeszcze jeden auł, do którego napewno zajechał by i conajmniej jedną dobę spędził u znajomych lub krewnych, popijając arakę.

Ile tam było naprawdę kilometrów nikt nie wiedział i nikogo to nie interesowało. Z godzinnym popasem jechaliśmy od wczesnego jesiennego ranka i przybyliśmy do celu eskapady przed samym zachodem słońca.

Dotarliśmy do granicy najbardziej wysuniętych na południe w góry osiedli kabardyńskich. Dalej zaczynały się osiedla górskich Tatarów, t. zw. tu Bałkarów. Byliśmy w dolinie rwącej górskiej rzeki Baksan, o jakie sześćdziesiąt kilometrów od jej źródeł, biorących początek u stóp wiecznie białego Elbrusa, najwyższego

szczytu Kaukazu (5.629 m.). stojącego na pograniczu Europy i Azji. Byliśmy w miejscu, gdzie do Baksanu wpada rzeka Gundelen i gdzie górskie masywy z obu stron coraz śmielej nacierają na obie rzeki, dusząc je w swoich potężnych, ponurych, a zarazem przepięknych w swej grozie kamiennych uściskach.

Dziwny był kontrast pomiędzy wnętrzem domu księcia Hatażuko, a otaczającą go na zewnątrz przyrodą. Zakątek europejski, przytulny, komfortowy, gdzie każdy przedmiot przywędrował nie inaczej, jak na dwukołowej skrzypiącej arbie, wleczonej przez parę bawołów lub wołów.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy konno w góry. Razem pięć strzelb z księciem Hatażuko na czele.

Jadąc doliną spotykaliśmy od czasu do czasu pojedyjczych jeźdźców tubylców. Każdy z nich na widok księcia Hatażuko zjeżdżał z drogi, stawał frontem do księcia, pozdrawiał, mówiąc: „Selam alekum", na co książę odpowiadał: „Alekum selam". Gdy książę go minął — jeździec zawracał konia i jechał za nami. Po pewnym czasie książę Hatażuko odwracał głowę, dawał znak ręką, a jeździec odłączał się od nas i jechał w poprzednim swoim kierunku.

— Co to ma znaczyć? — któryś z nas zapytał.

— To stary nasz adat — odpowiedział z uśmiechem książę. — W dawnych czasach, gdy książę wyruszał w drogę, wszak mógł on jechać na jakąś wojenną wyprawę, więc każdy z jego podwładnych miał obowiązek przy spotkaniu dołączyć się do jego orszaku, nie bacząc na własne sprawy, nie śmiąc zapytać dokąd i po co książę go poprowadzi. W taki sposób książęta zbierali swoje oddziały, wyruszając na wojnę. Zwyczaj pozostał do dnia dzisiejszego z tą różnicą, że już nie zabieramy ze sobą oddziałów, lecz każdego, który za nami pojedzie, natychmiast zwalniamy. Proszę mi wierzyć, że gdybym nawet w obecnych czasach rewolucyjnych nie dał znaku któremukolwiek z tych jeźdźców, — jechał by on za mną o nic nie pytając i dzień i dwa i więcej.

Tymczasem wjechaliśmy na chyboczący, zbudowany z drągowiny most bez poręczy, przerzucony przez nurt pieniącego się po głazach Baksanu.

Niedaleko za mostem zobaczyliśmy kilku tubylców. Mieli przy sobie cztery psy na smyczach.

—Doskonale, — rzekł książę Hatażuko — naganka przyszła na czas. A to są moje psy. Sprowadziłem je z Rosji. Gonią i dzika i niedźwiedzia.

Zaczęliśmy znaną nam wspinaczkę po przez haszcze, skały, ścieżkami i na przełaj.

Zbocze, po którym wspinaliśmy się, miejscami było porośnięte drzewami, miejscami krzakami, ale przeważnie pokrywały je małe łąki, wciśnięte pomiędzy zwały skalne.

Na koniec dotarliśmy do szczytu. Znaleźliśmy się na płaskowzgórzu. Mało różniło się ono od zbocza, — te same zwały skalne, kępy krzaków, łączki. Gdzie niegdzie głębokie, przepastne jary.

Książę rozstawił nas na brzegu jaru prowadzącego w kierunku Baksanu. Mniej więcej w połowie wysokości jaru ciągnął się przed nami poziomy uskok, jakby stopień olbrzymich schodów, pokryty skałami, powyrywanymi przez burze drzewami i krzakami.

Naganka miała posuwać się zboczem od strony Baksanu, a następnie zawrócić do jaru i piąć się pod górę, aż do płaskowzgórza.

Po dłuższym oczekiwaniu, gdzieś z daleka, jakby ze studni, dotarło do uszu szczeknięcie psa, potem drugie, histerycznie piskliwe, i zaczął się czterogłosowy psi koncert, jeden z najmilszych dla ucha myśliwego, chwytający za każdy nerw, a zarazem tajemniczy, gdy się jeszcze nie wie, co było jego przyczyną, a jednak już łączący myśliwego z tajnikami puszczy.

Gon zbliżał się bardzo wolno. Tak przynajmniej wtedy mi się wydawało. Rozigrana wyobraźnia oczekiwała na coś nadzwyczajnego, każdy nerw dygotał. Wzrok ślizgał się szybko po całym zboczu, macał każdy zakątek, szukał... znalazł... po uskoku galopował niedźwiedź. Nie, to niedźwiedzica, bo za nią podążały dwa niedźwiadki. Jeden zawadza o powalone drzewo, śmiesznie koziołkuje, podrywa się, biegnie dalej. Drugi zawadza o inny pień... taki sam koziołek... są daleko pod nami. Jesteśmy nad nimi na wysokość kilkunastopiętrowej kamienicy, ale widać wszystko jak na dłoni. Byłem zaczarowany tym widokiem. Był tak prosty i zrozumiały. Cały urok tajejmniczości, gdy odezwały się pierwsze odgłosy gonu, prysł. Nie przyszło mi nawet do głowy strzelić, choć miałem nie dubeltówkę, lecz dalekonośny karabinek. Zaczarowany patrzyłem jak matka uprowadza dzieci przed niebezpieczeństwem.

Przykrym echem przeszył powietrze strzał, jeden, druki... zaczęły się sypać strzały. Była to krótka chwila. Niedźwiedzie znikły za skałami i strzelby zamilkły.

— Do koni! do koni! — usłyszałem nawoływania księcia Hatażuko i Habisza. Zobaczyłem jak dobiegli do swoich uwiązanych opodal koni i szybko je dosiadali.

Bracia Ch. i ja również rzuciliśmy się czymprędzej do koni, w biegu zarzucając karabinki za plecy.

Pogalopowaliśmy za księciem Hatażuko, ryzykując na każdym kroku potknięcie się o jakiś odłam skały lub wpadnięcie do jakiejś dziury. Zrozumieliśmy manewr księcia. Liczył on, że niedźwiedzica poprowadzi małe w górę, ku szczytowi jaru i chciał tam przeciąć jej drogę.

Gdy dotarliśmy do obranego miejsca i zeskoczyliśmy z koni, okazało się, że wyprzedziliśmy niedźwiedzicę, ale nie dlatego, że galopowaliśmy szybciej od niej, a dlatego, że była ona sprytniejsza od nas. Zmieniła ona kierunek, zeszła na dno jaru i teraz zobaczyliśmy, jak na ukos galopowała ku górze przeciwległego brzegu jaru, a za nią dwa małe. Była od nas o jakie trzysta metrów.

Książę Hatażuko i Habisz nie wytrzymali, posłali jej parę kul, ale nieszkodliwych.

— Teraz już jej nie dostaniemy, — powiedział książę Hatażuko — za tym jarem ani jej nie dopędzimy, ani jej drogi nie przetniemy. Żeby tylko psy za nią nie poszły. Może nie pójdą, bo na dnie jaru jest potok, — niedźwiedzica musiała przez niego przejść i tam psy powinny zgubić trop.

Tak też się stało. Na dnie jaru gon urwał się.

Sporo czasu przeszło zanim naganka zebrała się przy nas. Nie łatwe miała ona zadanie, idąc na przełaj, pokonać strome zbocza, ale po żadnym z tych ludzi nie można było poznać zmęczenia. Góry to ich żywioł.

W jednym z następnych miotów z ręki księcia Hatażuko padł odyniec. Osaczyły go psy przy samym stanowisku księcia. Przy tym został ciężko skaleczony jeden pies, któremu odyniec rozpruł bok tak głęboko, że było widać różowe płuco. Naganiacze na rękach ponieśli go do domu. Wyżyło jednak dzielne psisko.

Na następny dzień, dobrze wypoczęci w komfortowym domu księcia Hatażuko, zapolowaliśmy na przeciwległym brzegu Baksana, na górze Cha-ra-cho-ra (po kabardyńsku „cha" — pies, „cho" — dzik"; na szczycie tej góry były dwie skały, przypominające swoimi zarysami, jak by dzika uciekającego przed psem).

Charakter terenu niczym nie różnił się od terenu opolowanego wczoraj, — takie same skały, krzaki, łączki, jary.

Mieliśmy tylko o jednego psa mniej.

Z jednej strony Cha-ra-cho-ra była opasana jakby olbrzymimi stopniami schodów, piętrzących się nad sobą. Książę Hatażuko rozstawił myśliwych nie w linii poziomej, a jednego nad drugim, w taki sposób, zeby te stopnie, które mają największe prawdopodobieństwo, że zwierzyna przez nie przejdzie, były obsadzone przez myśliwych. Zbocza pomiędzy stopniami były tak strome, że trudno było się spodziewać, aby po nich przeszedł większy zwierz.

Książę Hatażuko objaśnił nam, że naganka ruszy od naszego prawego skrzydła i pójdzie wzdłuż zbocza.

Samo rozstawienie myśliwych na stanowiskach zajęło conajmniej godzinę. Ja wylosowałem jeden ze środkowych stopni szerokości około 20 m. Konia uwiązałem możliwie daleko od siebie, kryjąc go za występem skały. Byłem więc w tej chwili jedynym panem wąskiego korytarza, z jednej strony ograniczonego przepaścią, a z drugiej prostopadłą kamienną ścianą góry. Przede mną dolina Baksanu, na jej dnie wąziutka wstęga rzeki, za nią piętrzą się olbrzymy górskie, pod moimi nogami szybuje parę orłów.

— Wysoko — pomyślałem sobie.

Stanąłem, jak mnie pouczył książę Hatażuko, pod samą ścianą. Obstrzał miałem doskonały. Kilka drobnych krzaczków, które rosły na przedpolu, przeszkadzać nie mogły. Z prawej strony odemnie, o jakie 40 m, korytarz załamywał sie prawie pod kątem prostym w prawo i tu kończyło się moje pole widzenia. Z lewej strony, o jakie 20 m, korytarz raptownie zwężał się do szerokości 10 m. Za tym zwężeniem właśnie był mój koń.

Długo stałem oparty plecami o ścianę skalną, rozkoszując się cudem panoramy górskiej. Słońce było już bardzo wysoko. Śnieg na szczycie Elbrusa aż oślepiał swoją bielą. Pod urokiem tego krajobrazu można nawet było zapomnieć, że się jest na polowaniu i to nie na zające i nie na kuropatwy.

Ocknąłem się od dalekiego, gdzieś z dołu pochodzącego krzyku. Krzyk był krótki, ale jakiś dziwny, rozpaczliwy, jakby nie ludzki. W ślad za nim, w niewielkim odstępie czasu gruchnął strzał. I potem ani dźwięku.

Wnet wyleciały mi z głowy wszystkie cuda krajobrazu, a palce odruchowo sprawdziły bezpiecznik karabinka.

W sam czas!

Z prawej strony, z za zakrętu korytarza ukazała się sylwetka niedźwiedzia. Szedł brzegiem korytarza nad samym urwiskiem. Szedł wolno, stępem, na miękko uginających się w pęcinach łapach. Niby ociężały, workowaty, a jednocześnie taki lekki w ruchach. Co parę kroków stawał, zwracał głowę w stronę, od której słyszałem strzał i znowu szedł dalej.

Powolutku, żeby nie spłoszyć czujnego przybysza, zbliżałem karabinek do oka. Już muszka lekko dygoce na tle komory misia. Skupiłem całą siłę woli, żeby opanować siebie. Muszka nie powinna dygotać. Nie! Jeszcze nie strzelę, niech się jeszcze zbliży...

Teraz wiem, jak ryzykowałem. Byłem zupełnie odsłonięty. Niedźwiedź mógł w każdej chwili mnie spostrzec i wszystko by przepadło. Święty Hubert jednak miał mnie w swojej opiece, bo niedzwiedzia mózg był widać więcej zajęty w tej chwili kierunkiem niedawnego strzału, niż bliższym otoczeniem, a może słyszał on ruch naganki w dole.

Gdy na koniec niedźwiedź znalazł się tuż przed moim stanowiskiem — pociągnąłem za spust.

Z rykiem zwierz zaczął łapać zębami za swój lewy bok i kręcić się w miejscu tak, jak to robi pies, gdy chce chwycić za własny ogon.

Ale trwało to krótko. Nie zdążyłem zarepetować karabinka, gdy niedźwiedź znikł mi z oczu za krawędzią urwiska. Co tchu podbiegłem do urwiska.

Dwa, trzy metry pode mną, na bliźniaczych pniach dwóch drzew, rosnących ze skalnej szczeliny, bezwładnie, jak worek z kośćmi zwisało wspaniałe ciemne cielsko. Bielała tylko krawatka pod szyją.

Król puszczy górskiej nie żył!

Oprócz mojego, w tym miocie padła jeszcze niedźwiedzica. Zwalił ją ten strzał, który słyszałem na początku miotu. Jeden z naganiaczy omal nie nadepnął na młodego niedźwiadka. W tej chwili rzuciła się na niego z przodu niedźwiedzica. Zaskoczony naganiacz, zasłaniając się strzelbą, zakrzyczał. To go uratowało od objęć rozgniewanej mamusi. Niedźwiedzi-

ca, jak przystało na płeć piękną, widocznie trochę cierpiała na nerwy, bo się przestraszyła niesamowitego wrzasku; odskoczyła od swojej ofiary i zabrała się do pośpiesznego odwrotu. Wówczas niedoszła ofiara wypaliła ze swojej jednorurki, dość archaicznego pochodzenia, kładąc starą na miejscu. Niedźwiedzica zdążyła jednak pozostawić ślady swoich zębów na kolbie strzelby naganiacza, wyrywając z niej parę drzazg, a ślady swoich pazurów na rozdartym w pasy rękawie czerkieski (wierzchni ubiór kaukaski zastępujący naszą marynarkę). Ale nie żałował, jak się wydawało, naganiacz ani uszkodzonej strzelby, ani postrzępionego rękawa, bo przeważała w nim radość, że Allach zachował mu w całości jego własną skórę i gnaty.

Gdy już wszyscy ochłonęli od przeżytych wrażeń i każdy opowiadał, co miał do powiedzenia, książę Hatażuko zauważył, że nie ma psów. Naganiacze, przejęci wypadkiem swego towarzysza, zupełnie o psach zapomnieli i żaden nie wiedział, kiedy się ulotniły i gdzie się podziały.

— Blisko nie mogły być, przypuszczał książę, bo wtedy albo byłyby przy nas, albo wpadły by na trop osieroconego niedźwiedzia i musielibyśmy wtedy usłyszeć ich gon.

„Spróbujemy zjechać niżej — zarządził książę Hatażuko — może z tamtej strony góry natrafimy na psy. Pewno za czymś pogoniły".

Pozostawiliśmy nagankę, która miała zająć się ubitą zwierzyną, a sami zjechaliśmy do doliny pomiędzy Cha-ra-cho-ra i sąsiednią górą, której nazwy nie znałem.

Posuwaliśmy się wolno, stempem, wciąż nadsłuchując.

„Stój! — półszeptem rzucił Habisz — gonią! Woliachi-azim! Gonią!"

Zatrzymaliśmy konie. Nikt z nas nic nie słyszał.

„Habisz! — nie wytrzymał Safurka — to ci w uszach wczorajsza araka goni-"

Powiedzenie to miało swoje podstawy, bo podczas wczorajszej kolacji Habisz zwrócił dużą uwagę na ten trunek, nie zakazany przez Koran, bo przede wszystkim wyrabia się go nie z winogron, a z kukurydzy, a po drugie dla tego, że Koran był napisany przed wynalezieniem araki.

Habisz nie zdążył odciąć się Safurce, bo naprawdę doleciał do naszych uszu daleki gon. Pochodził z dość dużej odległości i, jak się wydawało, z góry. Zbliżał się do nas.

Ja pozostałem w miejscu, a reszta myśliwych wyciągnęła się w długą linię wzdłuż dna doliny, w kierunku skąd dochodził coraz donośniejszy gon.

Niedługo pozostawałem sam. Wkrótce cała linia myśliwych zaczęła zwijać się. Wszyscy szybko podążali do mnie. I ja zobaczyłem przyczynę pośpiechu moich towarzyszy. Wzdłuż zbocza, ale bardzo wysoko, wydawało się, że po ścieżce w moim kierunku, dość prędko biegł jakiś zwierz, a za nim na odległości jakichś 150—200 metrów psy.

„To chyba dzik, — rzucił mi podniecony szybką jazdą książę Hatażuko. — Wyciągniemy się wzdłuż doliny dalej,".

Wszyscy pogalopowali za nim.

Ja jeszcze pozostałem, marudząc przy odwiązywaniu konia od drzewa. Gdy już dosiadłem konia, dzik był nade mną. Właśnie zobaczyłem, jak dobiegał do brzegu urwistej, kilkumetrowej skały, gdzie widocznie urywała się ścieżka i zwinięty w kłębek, jak to robi jeż, gdy chowa głowę, stoczył się ze skały, u jej podnóża poderwał się i pogalopował dalej.

Było tak wysoko, że trudno było rozpoznać zwierza, ale sądząc z tego jego nadzwyczajnego stoczenia się ze skały nie mogłem mieć wątpliwości, — był to niedźwiedź, a nie żaden dzik.

Gdybym sam, na własne oczy tego nie widział, nigdy nie uwierzył bym, że niedźwiedź jest zdolny do takiej wymyślnej akrobacji.

Za chwilę psy dobiegły do miejsca, gdzie stoczył się niedźwiedź i stanęły zgłupiałe. Nie wiedzały co robić. Nie posiadały niedźwiedziej zwinności i żaden z nich nie mógł sobie pozwolić na ryzykowną wędrówkę na zbity łeb. Nie długo jednak pozostały w niepewności. Psi zmysł kazał im szukać innej drogi, bo zawróciły z powrotem i jakimś okrężnym przejściem ominęły skały. Jak to zrobiły, nie widziałem już, bo popędziłem ostro galopem za resztą myśliwych w nadziei, że gdzieś uda się zajść niedzwiedziowi drogę.

Książę Hatażuko zupełnie słusznie postąpił, ściągając myśliwych w dalszą część doliny. Przekonałem się o tym niebawem, gdy dołączyłem się do reszty towarzystwa. Górna krawędź zbocza, wzdłuż którego posuwał się niedźwiedź, stopniowo zniżała się do dna doliny, a zbocze było coraz mniej strome. Ponieważ na całej swej przestrzeni przylegało ono swoją górną krawędzią do zupełnie pionowej kamiennej ściany góry, zwierz prześladowany przez psy musiał albo przeciąć dolinę w poprzek, aby drapać się na przeciwległą górę, co było by mniej zgodne z jego upodobaniami, bo dno doliny było zupełnie odsłonięte, albo musiał trzymać się tego samego zbocza, które choć sprowadzało go w dół, ale zato dawało mu dobre ukrycie pomiędzy krzakami i złomem skalnym.

Byliśmy w miejscu, gdzie zbocze przechodziło w zupełnie łagodną, niewysoką pochyłość, pokrytą gęstymi krzakami leszczyny, rosnącej pasmem szerokości 30 — 40 metrów. Dalej zbocze było tylko zupełnie gołym usypiskiem zwietrzałych, opadających ze ściany skalnej kamieni.

Habisz i ja pozostaliśmy na dole, aby uważać jak niedźwiedź będzie dochodzić do pasma krzaków. Książę, Safurka i Kokos wdrapali się na zbocze i ustawili się pod ścianą leszczyny, odcinając w ten sposób drogę na otwarte usypisko.

Skuteczność obserwowania przeze mnie i Habisza zbocza prowadzącego do pasma krzaków była wątpliwa, bo i ono było dość gęsto porośnięte, a przez to mało przejrzyste. Odcinaliśmy raczej przejście w poprzek doliny, co było najmniej prawdopodobne.

Zobaczyliśmy nie niedźwiedzia, a psy, które wpadły zboczem do pasma leszczyny. Zaledwie znikły nam z oczu, jak usłyszeliśmy wściekły ryk niedźwiedzia i oszalałe ujadanie psów.

Więc niedźwiedź przemknął się nam. Przeoczyliśmy go.

Ryk niedzwiedzia i głosy psów zlały się w jeden niesamowity, pełny grozy akord, akord walki śmiertelnej.

Rzuciliśmy się z Habiszem w kierunku odgłosów. Dobiegliśmy do krzaków i zaczęliśmy przedzierać się przez nie, gdy jeden po drugim padły dwa strzały.

Ryk ustał.

Przed nami pierwsi dopadli do osaczonego przez psy niedzwiedzia Safurka i Kokos. Zobaczyli go w chwili, gdy broniąc się stał na tylnich łapach. Wykorzystali sytuację i prawie jednocześnie, z odległości kilku kroków, wpakowali we włochatą potężną pierś misia dwie kule.

Miś padł po bohatersku, stawiając opór.

Leon Kon.

ST. HAHN.

Chrońmy dzika przed zagładą

(Artykuł dyskusyjny)

Wielu po przeczytaniu powyższego tytułu pokręci z powątpiewaniem głową, upatrując sprzeczność w samym założeniu. Jakto! jeszcze parę miesięcy temu, w pełni ubiegłego sezonu myśliwskiego tyle się mówiło i pisało o pladze dzików. Na szpaltach prasy codziennej pojawiały się wielokrotnie notatki i artykuły na ten temat, omawiające często w formie wprost sensacyjnej to zagadnienie. Wynikało z nich, że lasy nasze, zwłaszcza Pomorza i Prus, roją się od olbrzymich stad „czarnego zwierza“, który w ostatnich latach rozmnożył się nadmiernie, wychodzi na pola, niszcząc doszczętnie plony rolników i zagrażając, w okolicach dotkniętych tą plagą, klęską głodową.

Ze strony administracji leśnej okolic, o których mowa, słyszało się nieoficjalnie potwierdzenie tych wersji. W Dyrekcji takiej to i takiej należałoby odstrzelić 2000 dzików; w innej — 5000 szt. i t. d.

Zapaleni myśliwi przez szereg miesięcy zimowych marzyli jak o największym szczęściu, by móc zapolować w tym raju, gdzie szanse zdobycia upragnionych trofeów były tak wielkie.

Pamiętano przecież, że w czasach przedwojennych na najbardziej reprezentacyjnych polowaniach (w Białowieży i u Radziwiłła) przy stosowaniu uprzedniego zagęszczania (spędzania) zwierzyny padało na kilkudniowych łowach „zaledwie“ po stokilkadziesiąt dzików i to w najlepszych wypadkach.

To, co było wówczas dostępne jedynie możnym tego świata, wydawało się łatwo osiągalne obecnie dla zwykłego śmiertelnika, boć przecież przy tych ilościach dzików rezultaty polowań musiałyby być na pewno nie gorsze.

Polowań odbyło się dużo i to na terenach skąd sygnalizowano największe ilości tej zwierzyny, wyniki jednak zawiodły przewidywania. Dość wspomnieć, że największa bodaj tego rodzaju impreza z udziałem kilkunastu myśliwych, podzielonych na 3 grupy, polujące jednocześnie w kilku wybranych nadleśnictwach dała w rezultacie kilkudniowych łowów zaledwie dziesięć dzików.

Nie rozporządzam ścisłymi danymi statystycznymi, nie sądzę jednak bym popełnił grubszą omyłkę, szacując dokonany w sezonie 1946/47 ogólny odstrzał dzików (łącznie z zabitymi przez kłusowników)na całym Pomorzu i w Prusach na ilość nie przekraczającą 200 sztuk. A przecież w grę wchodzą olbrzymie przestrzenie leśne!

Jakie stąd należy wyciągnąć wnioski?

Przede wszystkim ten, że wbrew temu co głosi fama, a nawet co podają oficjalne raporty i sprawozdania administracji leśnej, stan dzików jest dużo niższy. Rzeczywista ich ilość nie jest bynajmniej nadmierna i w imię interesów naszego łowiectwa powinna być przynajmniej utrzymana.

Odnosi się to przy tym do wszystkich dzielnic naszego Państwa, choć należy przyznać, że są okolice, zwłaszcza w województwach centralnych, gdzie dziki pojawiły się w lasach, w których przed wojną od dawna ich już nie było.

Dziki jednak szkody w polach robią — wszyscy o tym wiemy. Jest rzeczą również nie ulegającą wątpliwości, że w nadchodzącym sezonie letnim i jesiennym usłyszymy wzmożony alarm z tego powodu. Wyniknie z całą pewnością w spotęgowanej formie zagadnienie odszkodowań i zapadną decyzje, mające na celu ograniczenie ilościowe dziczego pogłowia.

Zagadnienie to będzie się pojawiało rok rocznie i zniknie dopiero z ostatnim dzikiem w naszych kniejach.

Kółka myśliwskie, dzierżawiące od Państwa ostoje dzicze, są i będą zbyt słabe finansowo, by móc w myśl prawa łowieckiego, płacić takie odszkodowania, jakie pociągałoby za sobą utrzymywanie mniej niż średniego nawet stanu tej zwierzyny. Nic pomoże cały zapał i największa namiętność do tych szlachetnych łowów, skoro stan kieszeni na to nie pozwoli. Dziś już znam wypadki, gdzie na walnych zebraniach bardzo poważnych kółek przeprowadzane bywają uchwały—nie dzierżawienia łowisk z dzikami z powodu przewidywanych odszkodowań. Inne kółka zapatrują się na razie jeszcze optymistycznie na te sprawy, obawiam się jednak, że przeceniają swoje możliwości i nie dalekim jest moment, kiedy znajdą się przed alternatywą: odstąpienia od dzierżawy, albo też wystrzelania dzików.

Dla dzików pozostaną więc jedynie nieoddane w dzierżawę lasy państwowe, wątpię jednak, by i tam (za wyjątkiem terenów reprezentacyjnych) z tych samych względów mogły być stworzone warunki hodowli tej zwierzyny w takiej skali chociażby, jaka byłaby wskazana dla dobra zachowania charakteru naszej przyrody.

Często bywa przytaczane zdanie, zupełnie zresztą słuszne, że zwierzyna stanowi bogactwo narodowe i wartość jej zwiększa poważnie dochód społeczny. Zgoda! Łowiectwo jako całość ożywia bez wątpienia wielkie dziedziny życia gospodarczego, powodując rozwój całych specjalnych gałęzi przemysłu, dostarczając dużej ilości produktów spożywczych, futer szlachetnych i przemysłowych i t. d. Sama jednak hodowla, a zwłaszcza wykonywanie polowania, rzadko tylko bywa dochodowe. Obawiam się więc, że hodowanie przez Państwo w swych lasach dzików byłoby połączone z poważnym deficytem i wkrótce zaniechane.

Ponieważ przyszłe losy zwierzyny płowej nasuwają również wielu myśliwym już dziś poważne obawy, może więc w niedługim już czasie zaistnieć stan, że z „grubej" zwierzyny pozostanie nam jedynie zając, a nowe zastępy naszych nemrodów przeżywać będą niezapomniane wzruszenia na tokach ...skowronków.

Do tego dojdzie nieuchronnie, jeżeli zorganizowani myśliwi w imię swoich interesów, w imię ochrony przyrody, dla zapewnienia naszym następcom rozkoszy łowieckich nie znajdą środków zaradczych. I to natychmiast. Łatwiej jest bowiem ratować uszkodzoną budowlę niż wznosić gmach od fundamentów.

Państwo nasze jest ubogie i ma przed sobą zadania nierównie większej wagi, bo decydujące o przyszłym dobrobycie całego Narodu. Nie należy więc oczekiwać, by najbardziej nawet palące sprawy łowiectwa, wymagające poważnych finansowych wkładów, weszły szybko w stadium realizacji.

Na szczęście wiemy, jaką potęgę stanowi zbiorowy wysiłek świadomych swej woli jednostek. Na szczęście, jesteśmy również świadkami, jak szlachetna i zdrowa namiętność — łowiectwo — staje się naprawdę demokratyczna, zdobywając sobie gorliwych i zapalonych zwolenników we wszystkich warstwach społecznych.



Dzik w miocie fot. W. Puchalski

Jak więc ratować i utrzymać nasze zwierzostany „czarnego zwierza"?

Najradykalniejszym, najskuteczniejszym i jednocześnie najbardziej znanym sposobem jest grodzenie lasów. Chroni ono całkowicie przyległe tereny rolnicze od szkód wyrządzanych przez zwierzynę, stwarza idealne warunki dla hodowli i nie posiada wad... za wyjątkiem jednej: że jest bardzo kosztowne i wymaga wielkich ilości materiału drzewnego. Lasy zaś nasze są katastrofalnie wyniszczone przez okupanta, a zapotrzebowanie na budulec niewspółmiernie wzrosło. Sposób ten dostępny jest w chwili obecnej jedynie dla Państwa i to jednak w bardzo ograniczonym zakresie, uzależnionym od lokalnych warunków. Nie wpłynie on niewątpliwie w najbliższym czasie na usunięcie grożącego niebezpieczeństwa.

Chcę więc rzucić myśl nową, która moim zdaniem możliwa jest do urzeczywistnienia jako zbiorowy wysiłek wszystkich tych, którym drogie jest nasze łowiectwo, nasza przyroda, i którzy w tym celu winni, wszyscy bez wyjątku, zrzeszyć się w Polskim Związku Łowieckim.

Powtarzam więc: Dziki w polach szkody robią! Trzeba zatem albo je wyniszczyć, albo — szkody wynagrodzić.

A więc! Ubezpieczenie od szkód. Tak jak ubezpieczenie od ognia, gradu i t. p.

Jest jednak jedno „ale".

Każde ubezpieczenie oparte jest na powszechności ubezpieczonych i przypadkowości wynikających strat. Każdy jest mniej więcej jednakowo narażony, nie wielu jednak bywa naprawdę dotkniętych katastrofą. Stąd nie duże nawet składki ubezpieczonych umożliwiają pełne pokrycie strat poszkodowanym.

W wypadku, o którym mowa, sprawa przedstawia się inaczej. Szkody powstają tylko tam, gdzie dziki naprawdę są. Tam jednak wyjdą one na pola z całą pewnością. Oczywiście, że nie wszystkie uprawy sąsiadujące z ostoją dzików zostaną spustoszone, nawet w wypadku gdy rosną na nich jednakowe płody rolne. I tutaj więc przypadkowość będzie odgrywała pewną rolę, znacznie jednak mniejszą. Pewnym jest natomiast, że tam gdzie niebezpieczeństwo szkód dziczych nie istnieje, nikt się od nich ubezpieczać nie będzie.

W rezultacie składki ubezpieczeniowe musiały by być bardzo wysokie a tym samym ubezpieczenie utraciłoby atrakcyjność dla zainteresowanych.

Z tej beznadziejnej na pozór sytuacji widzę jednak następujące wyjście:

Podstawę ubezpieczonych stanowiliby oczywiście chwilowi posiadacze ostoi dziczych, członkowie P.Z.Ł. (dzierżawcy państwowych łowisk). Pozbawieni jakiejkolwiek pomocy musieliby oni opłacać w całości ustalone tą, czy inną drogą odszkodowania. W ich więc interesie przede wszystkim leżałoby utworzenie tego rodzaju Ubezpieczalni. Ze względów, które później wyłożę, nie byłoby sprawiedliwe zwolnienie ich całkowite z powyższych ciężarów. Opłacaliby więc oni składkę wysoką, wynoszącą w przybliżeniu powiedzmy 50 procent ustalonych dla ich łowiska odszkodowań.

Drugą kategorią ubezpieczonych byliby rolnicy, posiadacze t. zw. „obszarów zagrożonych", czyli gruntów otaczających dane łowisko, rzeczywiście narażonych na szkody dzicze. Obszary te musiałyby być z góry ustalone przez fachowe czynniki; odszkodowania obo-

wiązywałyby wyłącznie w obrębie owego obszaru; składki ubezpieczeniowe byłyby niskie.

W wypadku ustalenia zasady dobrowolnego ubezpieczenia, odszkodowania byłyby wypłacane wyłącznie ubezpieczonym.

Trudno jest, nie posiadając żadnego materiału statystycznego, wyjść poza ramy z gruba tylko naszkicowane tego rodzaju projektu, tym bardziej zaś zagłębić się w jakiekolwiek, najbardziej nawet prowizoryczne, obliczenia. Wydaje mi się jednak z całą pewnością, że zebrane z tych dwóch źródeł fundusze nie wystarczyłyby na pokrycie odszkodowań i nieuniknionych kosztów dodatkowych, jak: taksacje, wydatki kancelaryjne i t. p.

Brakujące sumy powinien dostarczyć Polski Związek Łowiecki, jako subsydium, ściągając je w tej, czy innej postaci od ogółu zrzeszonych myśliwych. Jestem pewien, że nie poskąpią oni na ten cel swojego grosza, choćby to były przymusowe składki, czy dodatkowe opłaty za karty łowieckie, lub t. p.

Ze względu na konieczność tego rodzaju zapomogi dzierżawcy terenów dziczych musieliby przyjąć na swe barki dużą część ciężarów odszkodowań, o czym wspominałem wyżej.

Jak przedstawiałyby się te same sprawy w niewydzierżawionych łowiskach państwowych?

Trudno jest na to odpowiedzieć. Wydawałoby się, że winna przeważyć tendencja wypuszczenia w dzierżawę jaknajrozleglejszych terenów leśnych z najbogatszym zwierzostanem członkom P. Z. Ł., idąc jaknajbardziej na rękę przy ustalaniu tenuty dzierżawnej, pomocy administracji leśnej i t. p. Pozostałe obszary i tereny dla administracji prowadziłyby własną gospodarkę łowiecką.

Nie stałoby oczywiście nic na przeszkodzie, by i te łowiska zostały ubezpieczone na analogicznych warunkach, z uwzględnieniem podobnych subwencji rządowych, jakie wpłacałby P. Z. Ł.

S. Hahn

JAN PANFIL

Łowiectwo na Ziemiach Odzyskanych

Z chwilą zagospodarowania przez władze polskie Ziem Odzyskanych staje się aktualnym problem gospodarki łowieckiej na tych ziemiach. Racjonalne rozwiązanie tego zagadnienia może przynieść poważne dochody dla Państwa.

Łowiectwo dzisiejsze weszło w ramy uspołecznienia i stało się dostępne dla szerokich warstw ludności. Łowiectwo dla ludzi pracy ma niepoślednie znaczenie, gdyż pominąwszy już materialne zyski, jest rozrywką, sportem, a zarazem wypoczynkiem po żmudnej codziennej pracy.

Zapewnienie ciągłości łowiectwa wymaga świadomego podejścia do tego zagadnienia nie tylko samych myśliwych, lecz całego społeczeństwa. Tylko poszanowanie obowiązujących przepisów przez wszystkich — pozwoli osiągnąć należyty stan zwierzostanu i zapewnić stałą a nawet dość wysoką rentę.

Ażeby tym zadaniom sprostać i nie zmniejszyć obecnego stanu ilościowego i jakościowego zwierzyny łownej, w ostatnich czasach mocno już przetrzebionej, my, szerokie warstwy myśliwych, winniśmy do łowiectwa, które w Polsce zawsze było chlubą i dumą naszą, ustosunkować się sumiennie. Winniśmy przede wszystkim przyczyniać się do hodowli i ochrony zwierzostanu oraz zapoznać szeroki ogół społeczeństwa ze statystyką, wskazującą jakie korzyści daje gospodarka łowiecka bez uszczerbku dla rolnictwa i leśnictwa.

Ponadto należy wyraźnie podkreślić, że wszelka rabunkowa i niewłaściwa gospodarka łowiecka przyczyni się bez wątpienia do zniknięcia zwierzyny łownej, a to co zostanie już raz zniszczone nie da się szybko odbudować.

Jaskrawym przykładem niewłaściwego ustosunkowania się do łowiectwa były lata wojny. Kilkuletni okres wojny zadał mu taki cios, że przywrócenie normalnego stanu wymagać będzie kilku dziesiątków lat i dużych nakładów pieniężnych.

Praca niniejsza ma być krótkim przeglądem statystycznym dawnej gospodarki łowieckiej na Ziemiach Odzyskanych, opracowanym na podstawie materiałów ogłoszonych w „Jahrbuch der Deutschen Jägerschaft" z lat 1936—1939. Dane te pozwolą zorientować się nam — na podstawie ilości planowo odstrzeliwanej zwierzyny — o przedwojennym zwierzostanie na tych ziemiach oraz o wysokości dochodów z tego źródła, a ponadto pobudzą do wyciągnięcia wniosków co do rodzaju poczynań w kierunku odbudowy zniszczeń wojennych w łowiectwie.

Dawna Rzesza Niemiecka była podzielona na okręgi łowieckie, dla których co roku wyprowadzano, w oparciu o statystykę, wskazówki co do spożytkowania zwierzostanu. Na tym miejscu zajmiemy się specjalnie rozpatrzeniem materiału cyfrowego dotyczącego Ziem Odzyskanych.

Wielkość obszaru Ziem Odzyskanych przyjęto według danych Instytutu Bałtyckiego pod tytułem „Główne Liczby Nowej Polski". Podział zaś na okręgi, pokrywające się z granicami dzielnic, ilustruje niżej załączone zestawienie:

1. Okręg	Pomorze Wschodnie	24300 km²
2. „	Pomorze Zachodnie	24870 km²
3. „	Ziemia Lubuska	21060 km²
4. „	Ziemia Śląska	32400 km²
	Razem	102630 km²

Podane w dalszym ciągu zestawienia wykazują przeciętne roczne ilości odstrzelonych sztuk głównych gatunków zwierzyny łownej w okresie 1935/36—1938/39 z obliczeniem jej wartości w złotych przedwojennych przy kursie 1 mk = 2,16 zł.

Przeciętne roczne ilości sztuk zwierzyny odstrzelonej w okresie 1935/36 — 1938/39 lat.

RODZAJ ZWIERZYNY:	Pomorze Wschodn.		Pomorze Zachodn.		Ziemia Lubuska		Ziemia Śląska	
	odstrzał sztuk	wartość tys. zł.	odstrzał sztuk	wartość tys. zł.	odstrzał sztuk	wartość tys. zł.	odstrzał sztuk	wartość tys. zł.
Jeleń	1.956	302.7	4.261	644.0	3.769	565.9	4.060	613.8
Daniel	697	60.5	344	32.9	1.405	136.6	937	90.8
Sarna	11.425	330.3	21.510	603.9	25.673	889.4	52.589	1.817.1
Dzik	813	74 3	4.065	419.6	3.434	295.0	991	96.7
Zając	70.129	454.4	57.724	407.2	65.240	424.8	324.417	2.102.2
Królik	4.904	10.8	42.981	92.4	61.160	129.0	208.553	450.1
Lis, borsuk	6.631	143.7	11.314	249.5	9.708	215.9	17.556	373.8
Kuna, tchórz	2.615	28.2	5.941	63.5	4.551	48.3	18.704	202.0
Bażant	6.677	24.9	13.698	52.4	13.230	50.2	263.824	996.8
Kuropatwa	58.787	127.8	52.131	126.9	53.525	115.0	301.769	651.8
Kaczka	30.266	84.6	32.148	90.1	16.810	45.3	34.024	95.0
Razem wartość odstrzału		1.639.2		2.782.4		2.915.3		7.495.1

Bardziej szczegółowe obliczenia, przeprowadzone na terenie Województwa Olsztyńskiego, wykazały, że w omawianym okresie czteroletnim odstrzał zwierzyny głównej, przypadający na każdych 10 tys. ha, wynosił: jeleni — 8.50, danieli — 2.87, sarn — 42,01, dzików — 3,32, zajęcy — 286,09, królików — 20,18, lisów i borsuków — 27,28, kun i tchórzów — 10,76, bażantów — 27,48, kuropatw — 241,91, kaczek — 125,97.

Z zestawień powyższych wynika, że Ziemie Odzyskane były bogate w zwierzynę łowną. Przeciętna wartość roczna odstrzelonej zwierzyny wynosiła w cyfrach zaokrąglonych:

1. Pomorze Wschodnie	1.639.000 zł.
2. Pomorze Zachodnie	2.783.000 zł.
3. Ziemia Lubuska	2.915.000 zł.
4. Ziemia Śląska	7.495.000 zł.
	Razem 14.832.000 zł.

Tak by się przedstawiała sprawa po stronie dochodu. Należy zkolei chociaż pokrótce omówić stronę rozchodu, jaki musi gospodarz terenów łowieckich wyłożyć na ich utrzymanie. Do wydatków tych należy zaliczyć: grodzenie upraw leśnych, budowa szop i paśników do przechowywania i zakładania paszy w zimie, zakładanie polek i lizawek, sprowadzanie zwierzyny z innej miejscowości dla odświeżenia krwi, sumy przeznaczone na doświadczalnictwo, na zwalczanie epidemii w łowiskach i utrzymanie straży łowieckiej.

Jak widzimy przy prowadzeniu racjonalnej gospodarki łowieckiej muszą być wyłożone znaczne sumy na ochronę zwierzyny i na cele inwestycyjne. W stosunku do wartości rocznego zużytkowania zwierzyny i jej spieniężenia wydatki te wynosiły za czasów niemieckich około 40%. Jeżeli normę tę zastosujemy do powyżej przytoczonych wpływów, to koszt utrzymania łowisk wyniesie:

$$\frac{14832000 . 40}{100} = 5.933.000 \text{ zł.}$$

A zatem dochód netto dla jednego roku, biorąc pod uwagę powyższe obliczenia, wynien wynosić:

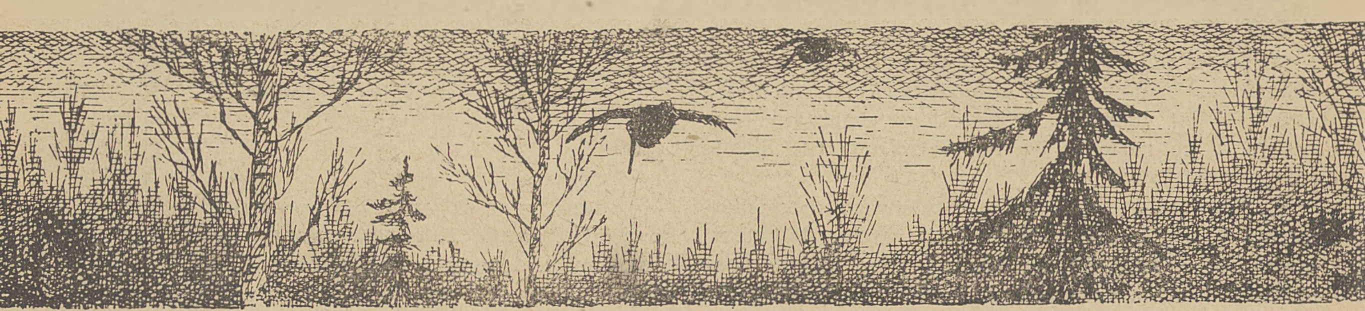
$$14832000 - 5963000 = 8.869\,000 \text{ zł.}$$

przedwojennych.

Jeżeli powyższy roczny dochód netto skapitalizujemy przy stopie 4%, wówczas wartość łowiecka terenów Ziem Odzyskanych będzie się przedstawiała w kwocie.

$$K = \frac{8.869.000 . 100}{4} = 221.725.000 \text{ zł.}$$

Jan Panfil



płk. HENRYK ZAPOLSKI-DOWNAR

O reformę prawa łowieckiego

Zmiana rolnej struktury Polski, w wyniku reformy rolnej, wymaga zmiany prawa łowieckiego.

Dotychczasowe prawo łowieckie z dn. 3. XII. 27 r. nie odpowiada warunkom obecnym. Prawo łowieckie z 1927 r. skonstruowane zostało z uwzględnieniem istnienia dużych majątków rolnych. Najmniejszą jednostkę łowiecką stanowi, według tego prawa, obszar rolniczo-gospodarczy od 100 ha wzwyż. Dopiero właściciel majątku o 100 ha mógł samodzielnie i bezpośrednio korzystać z prawa polowania (obwód łowiecki własny). Właściciele mniejszych gospodarstw rolnych tego prawa nie posiadali. Ci ostatni musieli zrzeszać się w spółki łowieckie (obwód łowiecki wspólny), a po zrzeszeniu się nie uzyskiwali jednak prawa bezpośredniego korzystania z polowania, tylko obowiązani byli je wydzierżawiać. Zasadniczo obwód łowiecki wspólny winien był obejmować obszar całej gminy. Gdy obszar gminy, po wyłączeniu obwodów łowieckich własnych, stanowił nie mniej 1000 ha ciągłej powierzchni, można było tworzyć obwody łowieckie wspólne, lecz o przestrzeni nie mniejszej od 500 ha. Dopiero jeśli tej ciągłej powierzchni łowieckiej nie było, można było tworzyć obwody łowieckie wspólne o powierzchni 100 ha. Wsie, kolonie, zaścianki mogły tworzyć obwody łowieckie wspólne o przestrzeni nie mniejszej od 250 ha.

Uprzywilejowanie właścicieli większej własności i upośledzenie drobnych rolników, trudności tworzenia obwodów łowieckich wspólnych, zniechęcały drobnego rolnika do zainteresowania się łowiectwem, a w wyniku tworzyły tego rodzaju sytuację, że tereny łowieckie, szczególnie na wschodzie, zostały faktycznie podzielone na stosunkowo nieliczne obwody łowieckie i liczne „obwody kłusownicze", składające się z masy gospodarstw drobnych, niezarejestrowanych jako obwody łowieckie. Na tych „obwodach kłusowniczych" nie obowiązywało kłusownika żadne prawo — ani prawo polowania, ani prawo ochrony zwierzyny. Myśliwy unikał takich obwodów. Kłusownik grasował na nich, bez obawy spotkania się z myśliwym.

Zaznaczyć należy, że w warunkach przyrodniczych i gospodarczych Polski, podobnie jak całej środkowej i zachodniej Europy, dziki zwierz — zwierzyna może zachować swój byt tylko tam, gdzie znajduje ochronę i opiekę. I choć wygląda to na paradoks, ochronę i opiekę zwierzynie daje myśliwy. Z rąk myśliwego-strzelca ginie pojedynczy osobnik, lecz cały rodzaj czy gatunek zwierzyny łownej rozmnaża się, bo opiekuje się nią myśliwy-hodowca. Gdzie nie ma myśliwego, tam panują wszechwładnie kłusownik, pies, kot i dziki drapieżnik, tam niema zwierzyny.

Postawione na właściwym poziomie łowiectwo, dostarczające na rynek wewnętrzny, a nawet zagraniczny, pokaźnej ilości mięsa i skór, może i powinno stanowić jedną z pozycji gospodarki narodowej.

Staje się przeto nieodzowną koniecznością wydanie nowego prawa łowieckiego, dającego równe prawa dla wszystkich obywateli, prawa budzącego zainteresowanie łowiectwem, prawa odpowiadającego obecnemu ustrojowi Polski, a równocześnie dającego opiekę zwierzynie, chroniącego w Polsce zwierza przed zagładą.

Warunkiem zasadniczym osiągnięcia tego jest *zorganizowanie z mocy samego prawa wszystkich pól, lasów, łąk, wód, nieużytków w tereny łowieckie* tak. ażeby nie pozostawało terenów niezorganizowanych. W tym celu jednostkami łowieckimi z mocy prawa winny być obszary gmin oraz obszary należących do skarbu pól, lasów, łąk, wód, nieużytków — jedne i drugie o ciągłej powierzchni nie mniejszej od 1000 ha (obszary o przestrzeni mniejszej włącza się do terenów łowieckich sąsiadujących). *Użytkować polowanie mogą tylko myśliwi zrzeszeni* w towarzystwach łowieckich, które z kolei winny tworzyć związki powiatowe, wojewódzkie i wreszcie związek ogólno-państwowy.

Są to oczywiście tylko założenia podstawowe, które wymagają rozwinięcia w szczegółach, założenia te jednak odpowiadają naszym geograficzno-gospodarczym warunkom.

Do tych założeń należałoby jeszcze dołączyć co najmniej na czas przejściowy, jeśli nie na stałe, z uwagi na obawę wyniszczenia zwierzyny, przepis ustawowy corocznego zakazu polowania na kolejnej połowie terenu łowieckiego. Zakaz ten mógłby być uchylany tylko zarządzeniem właściwego ministra tam, gdzie istnieje należyta hodowla zwierzyny.

H. Zapolski-Downar



Dwa podręczniki do egzaminu łowieckiego

Polski Związek Łowiecki, pragnąc uprzystępnić wszystkim zasadnicze podstawy wiedzy łowieckiej oraz dać możność zapoznania się z nimi tym, którzy będą musieli poddać się egzaminowi łowieckiemu, wydał jako odbitki z „Łowca Polskiego" dwie prace, a mianowicie: :prof. Józefa Gieysztora „Podstawy Łowiectwa" oraz kol. Zbigniewa Kowalskiego „Używanie broni i bezpieczeństwo na polowaniu". Obydwie te prace wydano w ograniczonej ilości egzemplarzy po 500 sztuk.

Praca prof. Gieysztora kosztuje 100zł., kol. Kowalskiego — 70 zł. Do nabycia w Biurze Związku w Warszawie, ul. Żulińskiego 6 m. 2, oraz we wszystkich Wojewódzkich Radach Łowieckich.

„Podstawy łowiectwa" prof. Gieysztora, to krótki, zwięzły podręcznik wiedzy łowieckiej, opartej na długoletnim doświadczeniu; obejmuje on krótki rys historyczny łowiectwa, dalej omawia znaczenie gospodarcze łowiectwa, prawo łowieckie, etykę łowiecką i stosunek łowiectwa do ochrony przyrody, organizacje łowieckie, wreszcie sposoby łowów i zabiegi hodowlane, walkę z kłusownictwem, broń myśliwską, użytkowność psa myśliwskiego, oraz łowiectwo we wszelkich przejawach sztuki.

Widzimy więc z tego krótkiego wyliczenia rozdziałów, że praca ta obejmuje w skrócie wszystkie dziedziny łowiectwa i stanowi całość wykładów prof. Gieysztora, wygłoszonych na S.G.G.W. w Warszawie, o czym autor wspomina w słowie wstępnym.

Praca kol. Kowalskiego jest jakby rozszerzeniem rozdziału o broni w pracy prof. Gieysztora.

Kol. Kowalski omawia w swej rozprawie obchodzenie się z bronią na polowaniu, konserwację broni, działanie ładunków zarówno kulowych jak i śrutowych it.d.

Praca ta wypełnia wielką lukę w piśmiennictwie łowieckim. Kilka bowiem prac z dziedziny ballistyki, jakie ukazały się przed wojną, są właściwie niedostępne dla przeciętnego myśliwego. Podręcznik zaś kol. Kowalskiego jest łatwy do zrozumienia nawet dla laika i początkującego łowcy.

Znajomość obydwóch omówionych podręczników pozwoli czytelnikowi na przygotowanie się z pewnych działów wiedzy łowieckiej do egzaminu łowieckiego, dlatego posiadanie ich jest konieczne, zwłaszcza dla myśliwych początkujących.

Wilki na Podkarpaciu

Dnia 6. II. 47 r. o godz. 12 dał mi znać gospodarz z Popowic, że w oddziale 48 widział dwa wilki, które dogryzały zdobycz. W okolicy tej wilki specjalnie w tym roku dały się wieśniakom we znaki.

Nie kończąc obiadu, wsiadłem do sanek i mijając Poprad pojechałem do chat w pobliżu tego lasu, gdzie czekał na mnie przewodnik. Marsz trwał około godziny. W pewnym momencie oznajmił mi gospodarz, że on pójdzie potokiem, a mnie kazał posuwać się uboczą, w odległości od niego o jakieś 300 m.



Ubita wadera

Szliśmy tak parę minut.

Nagle z przeciwległej strony zobaczyłem, jak coś w krzakach mignęło w moim kierunku. Przystanąłem pod grubą jodłą i z odciągniętymi kurkami skierowałem dubeltówkę w stronę, z której spodziewałem się ukazania niewiadomej zwierzyny. Długo nie czekałem. Z zarośli wybiegła wadera, a za nią basior. Jeszcze parę kroków podbiegła w moim kierunku, nie węsząc mojej obecności. Jeszcze na parę kroków przypuściłem wilki do siebie i z dwudziestu pięciu kroków strzeliłem, kładąc na miejscu waderę, która zaczęła tarzać się i wyć.

Wilk przerażony zaczął naokoło wadery biegać. Nie odciągając dubeltówki od oka, zmierzyłem do wilka. Niewypał. Dziwne ogarnęło mnie przerażenie, pomyślałem sobie, że już po mnie. Zdawało mi się, że jestem otoczony przez wilki. Nerwowo łamię dubeltówkę, szukam naboi, których w tym momencie nie mogę znaleźć. Biegnę w kierunku przewodnika i wołam o pomoc. Nie przypuszczałem nigdy, że potrafię tak dobrze biegać.

Po paru minutach połączyłem się z moim robotnikiem i z naładowaną dubeltówką wracam na poprzednie stanowisko, gdzie zastaję nieżywą już wilczycę. Wilka już nie było, nie chciał na mnie czekać. Chwila uspokojenia i dopiero następuje radość z powodu upolowania pierwszego w życiu wilka.

Był już wieczór, gdy z wilkiem przyjechałem do wsi. Radość gospodarzy była jeszcze większa od mojej z powodu zabicia rabusia.

Jaworski Jerzy
Leśniczy Państwowy (Stary Sącz)

Z działalności P. Z. Ł. w terenie

I.

Otrzymaliśmy ostatnio kilka komunikatów z Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Bytomiu. Jest to jedna z najbardziej czynnych i przedsiębiorczych naszych placówek w terenie. Ostatnim jej posunięciem było wydanie w ilości 18.000 egzemplarzy afisza (o wymiarze 60×40 ctm.), wzywającego w gorących słowach społeczeństwo śląskie do walki z nielegalnym polowaniem oraz z kłusownictwem i wnykarstwem, jako z czynami przestępczymi, prowadzącymi do niszczenia dobra narodowego, jakim jest zwierzyna, i świadczącymi o głębokiej demoralizacji ich sprawców.

Odezwa kończy się słowami: „Wojna już się skończyła. Czas zaprowadzić ład w łowiectwie. Jednym ze sprawdzianów kultury każdego społeczeństwa jest jego właściwy stosunek do przyrody i jej bogactw. Dość tej dzikiej strzelaniny, dość kłusownictwa i wnykarstwa! Społeczeństwo nasze tęskni do spokoju i poszanowania prawa, ma dość powojennych plag i barbarzyńskiego wandalizmu".

Równocześnie Łowczy Powiatowy w Nysie, inż. dr Jan Podgórny, zwraca się w tej sprawie z osobną odezwą do członków P. Z. Ł. w powiecie nyskim i wzywa do zwarcia szeregów dla walki z kłusownictwem, zarówno jawnym, jak i tajnym, do podniesienia poziomu etyki i moralności. „Wzięliśmy na barki straż nad łowiectwem, a nasz trud — to obywatelska służba dla Polski. Jeśli tak pojmiemy swą misję w solidarnym wysiłku — z pozostałych niedobitków wskrzesimy wkrótce świetność naszych zwierzostanów łownych".

„Obowiązkiem każdego członka P. Z. Ł. powinno być dopilnowanie w swym zasięgu działania:

Wydzierżawienia wolnych gromadzkich obwodów łowieckich.

Tępienia kłusownictwa i donoszenia o winnych Starostwu do ukarania.

Przestrzeganie przepisów łowieckich i czasów ochronnych.

Przestrzeganie zakazu włóczenia się psów i kotów po polach.

Zapewnienia spokoju zwierzynie w czasie rozmnoży.

Zgłaszania Radzie znalezionych zabytków, trofeów, książek łowieckich.

Nie marnowania posiadanych skór zwierzyny ubitej.

Starania się o własnego psa myśliwskiego".

Oby ta pożyteczna działalność Śląskich Rad Łowieckich znalazła jaknajszerszy oddźwięk i naśladownictwo.

II.

W Rzeszowie, w dniu Święta Oświaty (4 maja) odbyło się uroczyste otwarcie Centralnej Biblioteki powiatowej połączone z Wystawą Książki Polskiej.

Wojewódzka Rada Łowiecka wzięła w wystawie czynny udział, urządzając osobny kącik, ozdobiony trofeami myśliwskimi i wystawiając 49 dzieł polskich z dziedziny łowiectwa, tak z działu naukowego, jak beletrystycznego.

Kącik myśliwski wzbudził duże zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej, co zachęciło kierowniczkę wystawy do zorganizowania improwizowanego odczytu, na którym przeczytano wyjątki z opowieści i bajek J. Ejsmonda.

Red.

LEON RZYSZCZEWSKI

DZIK

U nas w Polsce, jak i w ogóle w całej Europie, dzik (sus scrofa), jedyny przedstawiciel gatunku Suidae, zamieszkuje wyłącznie lasy. Lasy bowiem służą mu za stałe miejsce pobytu i bezpieczną ostoję. W pole dziki wychodzą tylko nocą za pożywieniem.

Chociaż dzik niewątpliwie blisko jest spokrewniony z domowym gatunkiem świni, a nawet jest dawnym jej protoplastą, to jednak świnia domowa, od wieków hodowana w chlewie na mięso i tłuszcz, daleko odeszła od swego pierwowzoru. Dotyczy to zwłaszcza różnych odmian wyprodukowanych drogą selekcji w Anglii, które służą za wzór w europejskiej hodowli. I tak świnia domowa niesie na krótkich nogach długi, walcowaty tułów o zaokrąglonym grzbiecie, głowę ma nie dużą, wklęsłą w profilu, szczeć rzadką i bezbarwną. U dzika natomiast wpada w oko niezwykły rozwój partii przedniej w stosunku do zadu. Prosta linia tworząca zarysy ciężkiego łba wznosi się dość stromo w przedłużeniu grubego karku, aż do punktu szczytowego powyżej łopatki, ażeby potem w długim, łagodnym spadzie zniżyć się aż do nasady ogona. Daje to dzikowi poniekąd wygląd garbaty, przy czym cała budowa robi wrażenie celowości i brutalnej siły.

Jedną z charakterystycznych cech dorosłego samca, którego nazywają odyńcem, są jego niezwykle rozwinięte kły. Dolne wyrastają prosto z dolnej szczęki między siekaczami i trzonowymi zębami. W przekroju u nasady mają one kształt płaskiego trójkąta i zwane są „szablami".

Górne kły, (fajki), okrągłe w przekroju u samej nasady wykrzywione na zewnątrz, ścierając się stale o dolne, utrzymują je w stanie ciągłego naostrzenia. Daje to dzikowi straszną broń. Uderzenie kłem przecina skórę i mięśnie jak nożem.

Na grubej skórze dzika wyrasta gęste włosie i twarda szczeć, która na karku i grzbiecie tworzy jakby grzebień. Nieraz pojedyncze, górne czubki szczeci z braku ciemnego pigmentu jaśnieją, dając całości uwło-

sienia barwę siwawą, jakby oszronioną. Jako całość ogólny kolor uwłosienia indywidualnie i regionalnie waha się od ciemnego, prawie czarnego, poprzez ciemno-brązowy do siwego.

Również i forma łba, zależnie od okolicy, a więc regionalnie, bywa odmienną, tak iż miejscami widujemy dziki o ryjach długich i spiczastych, gdzie indziej zaś takie, których ryje są grube i krótkie. Sądzę, że pierwsze należą do czystej rasy.

Ruja dzików przypada na listopad—grudzień. Maciora, w gwarze myśliwskiej locha, albo samura, wczesną wiosną rodzi 4—8 młodych, czyli warchlaków. Pierwsza ich szata koloru rudawego w ciemne pręgi, pozostaje do następnej zimy.

Przy matce trzyma się zazwyczaj jeszcze jej zeszłoroczne potomstwo. Często 2 lub 3 lochy ze swoimi młodymi łączą się w duże stado, charakterystyczne w zwyczajach tej zwierzyny. Pozostające przy stadzie młode 2-letnie samce nazywamy wycinki. Stare samce, czyli odyńce lub pojedynki, trzymają się osobno i podchodzą do stada jedynie w porze godowej, staczając w walce o wybraną krwawe nieraz boje między sobą.

Co do pożywienia dziki są wszystkożerne i korzystają tak ze zwierzęcych, jak i z roślinnych pokarmów. Dziki wprawdzie nie zaczepiają innych zwierząt leśnych, nadto zwinnych i płochliwych, żeby je mogły doścignąć, lecz nie ujdą im sztuki chore lub okaleczałe, czy to wskutek wypadku, czy postrzału. Znajdą je albo jeszcze żywe, albo już nieruchawe, lub gdy już doszły. W łowisku ze stałym i licznym stanem dzików rogacz, czy jeleń postrzelony wieczorem, może już następnego ranka będzie napoczęty przez dziki. Nie chodzi dzikom wreszcie o stan mięsa. Równie chętnie więc zjadają sztukę świeżo zdechłą, jak i nadpsutą padlinę, nie wyłączając własnego gatunku.

Bobrując po lesie natkną się też czasem na gniazdo kuraków leśnych, głuszycy, cieciorki lub jarząbka i splondrują doszczętnie jaja lub pisklęta. Wszędzie też w lesie natrafia się na ich robotę; darń przewróconą ryjami, jakby zoraną w poszukiwaniu korzonków i tłustych pędraków, przy czym ze względu na pożytek, jaki przynoszą przez tępienie szkodników leśnych, można im wybaczyć, że zniszczą kawałek młodej kultury sadzonek. Z pokarmów roślinnych służą im jako pasza jesienna bukwa i żołądź, na których się znakomicie wypasają, poza tym zjadają grzyby, jagody i różne korzonki. Znaczne szkody wyrządzają nocą w polach, wykopując ziemniaki, wszelkie gatunki okopowych, zielony owies i strączkowe.

Z zimą nadchodzą ciężkie czasy dla dzików. Nie to, żeby cierpiały od zimna. Przyroda wyposażyła je dobrym odkryciem, zaś wykorzystanie obfitszej paszy, którą dawała im jesień, pozwoliła im obrosnąć sadłem, lepiej trzymającym wewnętrzną ciepłotę od najgęstszego uwłosienia. Lecz prędko to się zużywa i spala wobec niemożności dalszej produkcji tego ochronnego tłuszczu. Zima bowiem stawia wszystkich mieszkańców lasu przed nierozwiązalny problem znajdywania wystarczającej ilości pożywienia. Coraz to trudniej dzikom.

Ziemia zamarzła i śnieg przykrył ją białym całunem. Dobrać się do darni i zryć ją ciężko, praca zaś nie popłaca. Pędraki i robactwo ukryły się głębiej w ziemię, zaś kilka korzonków mało na apetyty stada. Ginie co prawda w ciągu zimy kilka schorowanych lub okaleczałych sztuk zwierzyny i dziki śpiesznie sprzątają taką padlinę — ale mało tego wszystkiego. To też dziki osłabione głodem, starają się wedle możności przesypiać ten ciężki czas. Gdzieś w jakimś zwartym gąszczu zgarniają śnieg ze ściółki i całe stado kładzie się, jedna sztuka jak najbliżej przy drugiej, żeby się wzajemnie ogrzewać. Tak przesypiają godziny dzienne. Stare odyńce lubią wyszukiwać mrowisko wielkich mrówek leśnych i zasypiają w igliwiu. Takiego dzika przy miękkim cichym śniegu można czasem podejść na bliską metę i umieścić celny strzał w chwili kiedy wstaje.

W ogólności w porze zimowej śnieg ułatwia otropienie dzików. Korzystając z tego myśliwi w tej porze urządzają polowania na dziki z naganką i z psami, w celu odstrzału i utrzymania ilostanu tej zwierzyny na pewnym ograniczonym poziomie. Domagają się tego w pierwszym rzędzie rolnicy, mający swe pola na okrainach lasów. Właściciel lub dzierżawca terenu łowieckiego, który z konieczności musi płacić wysokie nieraz odszkodowania za straty, jakie dziki wyrządzają w polach w ciągu lata i jesieni, siłą rzeczy czuje się zniewolonym do umniejszenia ilostanu swych dzików.

Dzik to uosobienie siły i zapamiętałej odwagi. Nawet młoda sztuka, gdy nie widzi innego wyjścia, uważa atak za najskuteczniejszą obronę i bez zastanowienia rzuca się na silniejszego przeciwnika. Przytem dzik należący do stada zawsze może liczyć na pomoc ze strony swych towarzyszów. To też nie ma u nas drapieżnika, któryby odważył się zaczepić stado dzików. Nawet stado wilków woli zapolować na mniej obronne zwierzęta niż dziki. Jedynie w zimie wygłodzone wilki popróbują czasem napaść na stado dzików. Jednakże, zwłaszcza jeżeli przy stadzie znajdzie się kilka starych loch, próba taka zazwyczaj źle się kończy dla wilków, które odparte i pokaleczone, będą musiały odstąpić ze wstydem, nie zdoławszy przyczynić dzikom większej szkody.

Jedynym, istotnie niebezpiecznym dla dzików przeciwnikiem jest człowiek uzbrojony w broń palną. Na szczęście i z tym różnie bywa. O ile ma w ręku starą jednorurkę i wie, że może liczyć tylko na jeden strzał skuteczny, to, natrafiwszy na stado dzików i słysząc groźne ich rechtanie i fuczenie, nie raz namyśli się i wycofa. Tak samo przy nagłym spotkaniu na bliższą metę ostrożność licho uzbrojonego strzelca często bierze górę nad jego odwagą. Nie darmo stare polskie przysłowie, przy porównaniu niebezpieczeństwa łowów na niedźwiedzia i na dzika, wyraża groźną wyrocznię możliwego wyniku: „na niedźwiedzia łoże, a na dzika mary". Istotnie niedźwiedź nawet gdy się rzuci na myśliwego, zatrzymuje się i staje na zadnie łapy, dając mu przy tym sposobność strzelania w odkrytą pierś. Dzik zaś, postrzelony na bliską odległość, atakuje błyskawicznie i w oka mgnieniu dosięga myśliwego, którego może uratować tylko wykonany w ostatniej chwili odskok.

Dzik jako zwierz twardy i przez samą przyrodę bogato wyposażony we wszystkie właściwości potrzebne mu w dalszym istnieniu, mógłby żyć długie lata, co najmniej 20—25 lat. Rzadko jednak udaje mu się doczekać tego wieku. Prawda, że w miejscowym świecie zwierzęcym nie natrafia na przeciwnika zdolnego

zaszkodzić mu poważnie, cóż kiedy prześladuje i tępi go człowiek. Główną przyczyną takiego nastawienia są przykrości i znaczne wydatki z tytułu wynagrodzenia za szkody wyrządzone przez dziki w polach. Koszta te tak dalece przewyższają niewielki pożytek i miarę satysfakcji, jakie daje polowanie na dziki, że wielu właścicieli terenów łowieckich najchętniej całkiem pozbyłoby się tych drogich gości, wszyscy zaś czują się zmuszeni wykorzystać jaknajczęściej sposobności, jakie daje śnieżna zima, ażeby się pozbyć ich nadmiaru.

I tak dzikom ciężka sama w sobie i głodna pora zimowa upływa w ciągłym strachu i niepokoju. Największe straty ponoszą w polowaniacsh zimowych większe stada. Najłatwiej bowiem je wyśledzić i napędzić na strzelców. Doświadczone, stare odyńce, o ile, jak to bywa w ich czasie godowym, znajdują się przy stadzie, dobrze wiedzą że nie tam niebezpiecznie, gdzie największy hałas, lecz właśnie tam gdzie panuje cisza. Więc albo zaraz z początku wymykają się bokiem, albo też biegną wprost na ławę huczków. Ci zaś, choć na widok nacierającego dzika, zdwajają huk i nasilenie wrzasków, przecie nie głupi stawać mu w drodze, żeby go zatrzymać. W ten sposób odyńcom nieraz udaje się salwować skórę. Lochy zaś z młodymi przebiegają przez linię strzelców. Padają gęste strzały. Doświadczony myśliwy, licząc powiedzmy 20 strzałów, myśli sobie: leży może 5 albo 6 sztuk. Przeważnie domysł ten sprawdza się i na rozkładzie istotnie znajduje się 5 drobnych sztuk, warchlaków i przelatków i jedna stara locha.

Przyczyny tak znikomej ilości trafnych strzałów w stosunku do ich liczby ogólnej są rozmaite. Pierwsza, to nieodłączna od spotkania z dzikami emocja i gorączka, na którą składają się niepewność oczekiwania, wrażenia wzrokowe i słuchowe, poprzedzające ukazanie się dzików, a wreszcie sam ich widok i podświadoma myśl, „a nuż który rzuci się na mnie". Wszystko to ujmuje pewności ręki i wzroku. Są to jednak raczej przyczyny wtórne. Głównym powodem jest i pozostaje okoliczność, że większość myśliwych tak mało ma sposobności do strzelania z broni kulowej, kiedy zaś jej użyje, to chyba tylko do strzału na stojącego jelenia lub kozła. Lecz do dzików wypadnie przeważnie strzelić w biegu, szybkim zwykle, poprzez wąską drogę lub przesiekę. Ażeby w takich warunkach móc być pewnym swego strzału, trzeba nie tylko dobrze znać swoją broń, ale również osiągnąć sprawność, jaką daje tylko ciągłe ćwiczenie w strzałach rzutowych. Myśliwy mało wprawny w strzelaniu kulą do celów ruchomych, lepsze będzie miał wyniki ze zwykłej swej dubeltówki, nabitej okrągłą kulę, niż z nowoczesnego karabinu, z którego chyba tylko przypadkiem uda mu się strzał do przebiegającego dzika.

Prawie w każdym łowisku o większym stanie dzików żyje jakiś stary odyniec, którego wszyscy kiedyś widzieli, z którym niejeden się spotkał i o którym każdy słyszał. Nosi on zazwyczaj swoje przezwisko, pod którym wszyscy go znają. Oczywiście jest to ogromna, stara i chytra sztuka. Doszedłszy do lat i nabrawszy doświadczenia, zna on na wylot wszelkie rodzaje polowania i nauczył się sposobów wymykania się z niebezpieczeństwa. Dzień przesypia w bezpiecznym gąszczu, lub w oczeretach, na bagnie. Na miejsca otwarte wychodzi dopiero późnym wieczorem, gdy ledwo już widno, w pole tylko w ciemne, bezksiężycowe noce. Rozróżnia doskonale robotnika leśnego, albo grzybiarza od myśliwego. A i wobec myśliwych ma swoje podejścia. Gajowego lub chłopa, mających z tyłu starą strzelbę jednorurkę, można nastraszyć groźnym fuknięciem, czy też udanym wypadem, od innego można wymigać się ostrożnym odwrotem. Ma za sobą już nie jedno spotkanie. Nieraz też już strzelano do niego. Zwykle mimo. Lecz jako pamiątki nosi w sobie kilka kul ołowianych i na łopatce pod grubą skórą garść siekańców. Jego ogromny ślad znają wszyscy.

Któregoś zimowego poranku na świeżej ponowie udało się wytropić stado dzików. Nic tak ważnego. Co jednak dodawało smaku temu meldunkowi, to wiadomość, że do tegoż ostępu wchodził znany ogromny ślad, a wychodnego nie było. Widocznie „on" przyszedł zajrzeć do stada i zatrzymał się w miocie. Na taką wiadomość, szybko rozgłoszoną przez posłańców, zjeżdża się kilkunastu myśliwych. Znajduje się między nimi młody chłopiec, początkujący myśliwy, uzbrojony w nowiuteńki, dalekonośny karabin. Kupił go parę dni temu i wypróbowawszy go, strzelając do tarczy na strzelnicy, z oparciem na worku piasku, przekonał się, że bije celnie. Do zwierzyny nie strzelał z tej broni, a na dziki jest to jego pierwszy występ. Gospodarz, doświadczony myśliwy, mało sobie ceni takich gości. Wie dobrze, że na sprawność strzelecką takiego nowicjusza liczyć nie ma co, zaś postawiony w linii innych myśliwych, przez nieodpowiednie zachowanie lub daleki strzał w miot, może zepsuć szanse wszystkim. Trzeba go więc unieszkodliwić. Do tego najlepiej nadaje się daleko wysunięte stanowisko flankowe. Tak też czyni, tłumacząc chłopcu, że dlatego wysyła go jako najmłodszego na to dalekie stanowisko, że stary dzik często wykrada się bokiem zaraz z początku pędzenia, gdy tylko naganka ruszy. Zobaczywszy dzika, trzeba strzelić do niego w miot. Wtedy albo się trafi, albo uda się zawrócić go na linię strzelców. Zaledwie młody myśliwy stanął na swoim stanowisku, już widzi dużego dzika, biegnącego truchtem ku bocznej linii. Według danej mu instrukcji ma tedy strzelić do dzika w miot, żeby go trafnym strzałem albo zatrzymać lub też, gdyby chybił, zawrócić go z powrotem do miotu. Chciałby to też wykonać. Cóż kiedy biegnący dzik to nie tarcza stojąca na strzelnicy. Daremnie pomiędzy drzewami i krzakami usiłuje wymierzyć. Nie może dzika chwycić na cel. Dzik zaś, widząc już linię rusza ku niej skokiem. Chłopiec pojmuje, że to ostatnia sposobność do strzału. Mierzy więc w kraniec linii, którą dzik musi przebiec. Z emocji karabin lata mu w rękach. W chwili gdy dzik sadzi przez linię, strzelec wysiłkiem woli opanowuje się i pociąga za cyngiel na chybił trafił..... No i cudem jakimś trafia. Powinien był chybić, gdyż ani wiedział dokładnie kiedy strzelił, ani tym mniej jak właściwie wymierzył. To też oczom nie wierzy gdy widzi, że dzik przebiegłszy przez linię, zachwiał się, uderzył ryjem w drzewo, przewrócił się i legł bez ruchu.

Taki może być niesławny i nieoczekiwany koniec znanego wszystkim starego odyńca, który tyle miał za sobą przygód i tylu uszedł niebezpieczeństwom. Chociaż opowiadanie to zmyślone, przecież nieraz tak się zdarza, że chytry weteran dziczy pada ostatecznie od kuli przypadkowego gościa lub od strzału z odrutowanej pojedynki starego kłusownika.

Nieraz locha może być dla człowieka niebezpieczniejsza od odyńca. Odyniec bowiem zraniony strzałem

z przodu, atakuje człowieka biegiem, starając się zadać mu cios kłem w chwili gdy go mija. Niezależnie od tego, czy mu się to udało, czy nie, biegnie dalej, nie oglądając się. Inaczej locha. Postrzelona lub podrażniona, rzuca się pędem, lecz wprost na człowieka, żeby go obalić. Wywróciwszy go, gryzie zębami i depsze go racicami. Jeżeli człowiekowi udało się uskoczyć, atakuje go ponownie i goni go. I tak aż do skutku. Wyratować z opresji może człowieka tylko nadbiegająca zbrojna pomoc. Dokonawszy zemsty, locha odchodzi pomału, oglądając się, czy się człowiek nie podniesie. Locha prowadząca młode warchlaki, natknąwszy się niespodzianie zbliska na człowieka, atakuje go czasem nawet niezaczepiona, zwłaszcza jeżeli towarzyszy mu pies.

Dziki są zwierzyną pierwotną, nie dającą się wtłoczyć w ramy nowych czasów. To też będą musiały ustąpić przed zwycięskim pochodem kultury. A szkoda będzie poniekąd, gdyż dla młodzieńca początkującego w myśliwstwie, ostatni ten gatunek zbrojnej i nieustępliwej zwierzyny stanowi probierz, ażeby mógł sprawdzić stopień swego wyrobienia, sprawności i odwagi.

Leon Rzyszczewski



Zakłady Graf. „Czytelnik", Warszawa, Targowa 82. B-32082

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO"

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1947 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 400 zł., a leśnicy wszelkich stopni oraz funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej — w kwocie 200 zł. — otrzymują „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty.

Wobec wyczerpania nakładu Nr. 1-go członkowie P. Z. Ł., którzy opłatę uiścili po dniu 15 marca, otrzymywać będą pismo dopiero od Nr. 2-go.

Dostawa pisma członkom Związku dokonywana jest za pośrednictwem Powiatowych względnie Wojewódzkich Rad Łowieckich, które, otrzymując z Administracji „Łowca Polskiego" ilości egzemplarzy stosownie do zgłoszonych spisów członków, przesyłają je pocztą indywidualnym adresatom. Wszelkie zmiany adresów, względnie reklamacje, powinny być przeto kierowane do właściwych Rad Powiatowych, względnie Wojewódzkich.

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na konto „Łowca Polskiego" w P.K.O. Nr. I 1077 kwoty w stosunku 35 zł. za zeszyt. Ponieważ Nr. 1-y jest już wyczerpany za 5 pozostałych do końca roku zeszytów wpłacić należy 175 zł.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie zajmujące całą stronę na okładce lub za tekstem pobiera się — 5.000 zł., za pół strony — 3.000 zł., za jedną czwartą strony— 2.000 zł., za jedną ósmą — 1.200 zł:

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem — po 5 zł. za wyraz; grubym drukiem — po 10 zł. za jeden wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego oraz Dyrekcje Lasów Państwowych korzystają ze zniżki 50%.

Wydawca „Polski Związek Łowiecki", Żulińskiego 6.

Redaktor: J. Gieysztor, Miedziana 4a.